

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 19 LIPCA 1930 ROKU

NR. 29

TREŚĆ NUMERU: Jak się nauczyć punktualności — *Natalja Jastrzębska*. O Zofji Urbanowskiej — *Regina Zienkiewiczowa*. Podwórce — *Halina Dąbrowska*. Nad Lemanem — *Wanda Grabińska*. Z teatrów — *S. P. O.* Książki nadesłane do Redakcji. Z książek — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Sztuka, życie i społeczeństwo — *M. Werten*. Kwiaty cięte i nasze dokoła nich zabiegi — *Wanda Dobrzańska*. Dlaczego i w jaki sposób wystrzegać się robactwa — *Dr. Marja Kłosińska*. O konserwach z jarzyn — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek: „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Week end — *Well*. Dodatek: „Kultura Ciała”. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie” — *Zofja Reutt-Witkowska*. Arkusz wzorów.

JAK SIĘ NAUCZYĆ PUNKTUALNOŚCI

I.

Istnieją wady, na które wszyscy narzekają, o których wiadomo, że utrudniają życie, a z których pomimo tego nikt się nie poprawia.

Do takich należy niepunktualność.

Tak, wyraźnie, niepunktualność tylko, bo często wadliwie łączymy ją i utożsamiamy z niesłownością, a jest to zupełnie co innego. Niesłowność jest bezwzględnie gorsza: zaciągnięcie długu i niezwrócenie go, ucyńnienie obietnicy pomocy, przysługi, załatwienia czegoś i niespełnienie tego — to już brzydkie cechy charakteru.

Niepunktualności nie można z nimi porównać, jako istoty rzeczy, a jednak w skutkach swych bywa tak przykra, że często właśnie bierzemy ją za jedno z tamtymi, gorszymi wykroczeniami.

Bo istotnie, człowiek, który np. nie uiścił długu w terminie, kiedyś go jednak zapłacił, nie czuje się nieuczciwym; ale jego wierzyciel, narażony na liczne nieprzyjemności, a nieraz straty z powodu opóźnienia, jest pokrzywdzony. Ktoś liczył na obiecaną mu pomoc, na współdziałanie w jakiegokolwiek sprawie; owszem, przyszło, ale ileż to razy w formie przysłowiowej musztardy po obiedzie. Niepunktualny uważa, że jednak, co obiecał, to zrobił: cóż, kiedy często już nie nikomu z tej roboty nie przyjdzie.

Wobec tego, czyż można się dziwić, że stawiamy niepunktualność narówni z niesłownością?

Na szczęście, ten rodzaj niepunktualności jest rzadszy, ludzie o pewnej sile i kulturze charakteru nie podlegają mu tak łatwo; zato, jeżeli chodzi o zwykłe stosunki towarzysko-społeczne, a często i zawodowe, niestosowanie się do czasu (naturalnie, w formie

opóźniania, nie przyśpieszania, broń Boże!) jest prawdziwą plagą.

Nagminna ta przypadłość panuje specjalnie w Polsce; spóźniamy się do teatru, na wizytę, na posiedzenie, nierzadko do zajęcia — słowem, potrochu wszędzie.

Dlaczego?

Niepunktualność, a raczej jej objawy podzielićby można na indywidualne i zbiorowe, albo tak, jak grzechy: na swoje i cudze. Jest to bowiem taki miły łańcuszek: mam załatwić jedną sprawę o 5-ej, spotkać się z kimś o 6-ej, napisać jeszcze parę listów, zajrzeć do domu, przebrać się i o 8-ej być na zebraniu, lub w teatrze. Tymczasem, tam, gdzie poszłam o 5-ej, nie było nikogo, lub nie mi nie przygotowano: czekanie, reklamacje, czas uchodzi, zamiast do 6-ej, sprawa przeciąga się do 7-ej; przez ten czas już ktoś na mnie czeka, niecierpliwi się i narzeka na moją niepunktualność; w rezultacie przychodzę do domu na pół godziny przed ósmą, listów nie piszę, ubieram się na gwałt i — spóźniam się do teatru, lub na zebranie. Jeżeli złoży się „dobrze” w tym rodzaju przez cały dzień, to można śmiało liczyć, że straci się ze cztery godziny i w rezultacie jest się samemu ciągle niepunktualnym z cudzej winy.

Inny przykład: mam świadczyć w sądzie; sprawa naznaczona na godzinę 11-tą; śpieszę się, układam odpowiednio program dnia, przesuwam sobie lekcje, lub zwalniam się z biura, przychodzę i... czekam do 2-ej lub 3-ej.

Zebranie ma się zacząć o 8-ej; jestem i kłaniam się pustym wieszadłom w szatni — wszyscy przybywają

o 9-ej. Czy nie jest to zbiorowa niepunktualność i czy nie są to grzechy cudze? Tak, ale gdzie jest niepunktualność indywidualna, kto pierwszy zaczyna ten łańcuszek, kto nie umie sobie z czasem dać rady?

Jest takich dużo, a dlaczego tak postępują, trzebaby się nad tem zastanowić.

Przez długie wieki sądziliśmy, że mamy pięć zmysłów, obecnie psychologja zaczyna wynajdywać ich więcej: np. zmysł równowagi, przestrzeni i t. p., przy dalszych badaniach natrafimy napewno na jakiś ośrodek mózgowy, stanowiący zmysł czasu. Wiemy przecież doskonale, że niektóre osoby mają to, co nazywamy „zegarek w głowie”: bez zegara i bez żadnych oznak astronomicznych, lub innych zewnętrznych, osoby takie potrafią, na zasadzie psychicznego odczuwania, mierzyć czas. U niektórych zdolność ta ztraca się, jeśli są bardzo zajęci, lub zaabsorbowani jakąś rozrywką, miłym towarzystwem i t. p.; niektórzy jednak zachowują tę zdolność zdawania sobie sprawy z czasu we wszelkich okolicznościach, nawet we śnie, budząc się sami o tej godzinie, o której chcą.

Od czego zależy ta właściwość?

Bezwzględnie, że wiele osób ma ją z natury, potęguje ją jednakże wyrobienie i kultura; najlepszym tego przykładem są ludzie mniej inteligentni, którzy najczęściej nie umieją sami zdać sobie sprawy z czasu, np. służące, jeśli nie mają zegara, napewno zawsze powiedzą nam o 10-ej rano, że to jest południe, lub naodwrot. Nie znaczy to jednak, aby wszyscy ludzie inteligentni obdarzeni byli zmysłem czasu. Kultura stanowczo dopomaga do jego wyrobienia, ale go nie tworzy. Osobniki, mało podatne koncentracji, nerwowe, roztargnione, nie mają dobrego zmysłu czasu; tak samo ludzie, robiący wszystko zbyt szybko, lub zbyt powoli. W tem zdawaniu sobie sprawy z czasu leży, mojem zdaniem, tajemnica punktualności, tej indywidualnej.

Bo nie nie znaczy, że mamy przy sobie zegar, nie można przecież istnieć i pracować, nie spuszczać zeń oczu. Jeżeli nie potrafimy „oczasować” naszych zajęć, zdać sobie sprawy, ile minut zużyjemy na nie i jak te minuty uchodzą, popłaczemy sobie wszystko. Jedno zrobimy za prędko, tu zagadamy się za długo, tam zaczniemy robić coś, czego będzie za dużo i nie będziemy mogli dokończyć, w rezultacie ze wszystkim się spóźnimy.

Tę wadę ma właśnie wielu ludzi, niestety i wiele kobiet. U kobiet posiada ona specjalne podłoże: wiekowe nieprzyzwyczajenie do zawodowej, ściśle na godziny obliczonej, pracy. Kobieta pracowała w domu, gdzie, wiadomo, robota nigdy się nie kończy, ale też, o ile nie stosujemy do niej zasad naukowej organizacji pracy, nie ma tak pedantycznych terminów. Jest w domu rano jakieś pilne zajęcie, no, to pani ubierze się trochę później; miała wyjść o 11-ej, ale służąca wróciła z miasta i trzeba było zrobić rachunek, albo

przyszła kobieta z masłem, albo coś innego wypadło i pani konstatuje, że jest już 1-a, albo później, trudno. Nie zrobiło się w tej chwili, to zrobi się za pół godziny, lub za godzinę; to nie biuro, nie fabryka i nie stacja kolei żelaznej.

Warunki takie nie mogły sprzyjać wyrobieniu zmysłu czasu, ani obowiązkowości wykonania każdej rzeczy w ściśle i niezmiennie określonej porze. Stąd przysłowiowa w satyrze i naprawdę częstsza, niż u mężczyzn, niepunktualność u kobiet. Ta niepunktualność ma jednak i inne źródła: próżność (przybycie późno na zabawę lub przyjęcie, dla wywołania większego efektu), fałszywe pojęcie godności i t. p.

Widzimy więc, że powodem niepunktualności indywidualnej może być wrodzone nastawienie psychiczne danego osobnika, lub długotrwałe nieprzyzwyczajenie, brak wyrobienia w ścisłym mierzeniu czasu, także lenistwo i brak woli.

Ileż razy *niechce* nam się wyjść, lub nie mamy ochoty przerwać miłej gawędki, rozrywki, lub zaciekawiającej lektury. Odkładamy z minuty na minutę, aż — spóźniliśmy się.

Na to wszystko trzeba i można znaleźć radę w odpowiednim treningu; psyche ludzka jest jednak materialem podatnym, wiemy, że odpowiednią gimnastyką możemy wyrabiać pamięć, dar obserwacji, orjentację i szybkość reakcji; tak samo powinniśmy się starać o wyrobienie zdolności orjentowania się w biegu czasu i ścisłego stosowania się do niego, powinniśmy zwalczać lenistwo i hartować wolę. Dopomóc do tego muszą lekarze, psychologowie i pedagodzy, opracowując odnośne wskazówki i testy. Niedosyć jest powiedzieć: „nie spóźniać się” — należy ludzi odpowiednio do tego przygotować.

Oprócz przyczyn psychicznych, istnieją jednakże czynniki materialne niepunktualności indywidualnej. Najpoważniejszym z nich jest przepracowanie. Człowiek, przeładowany pracą, nie może, przy największych nieraz wysiłkach, zdążyć na czas; tak samo, jeśli zajęcia jego są zbyt liczne; to drugie jednak wiąże się często z wadliwym nastawieniem psychicznym: nie mając dobrej miary czasu, bierzemy na siebie, nieraz bez wybitnej konieczności, mnóstwo robót i obowiązków, których potem nigdy punktualnie nie wypełnimy, pędząc od jednych do drugich.

Lekarstwem na to jest znów ćwiczenie własnego pojęcia o czasie z jednej strony, z drugiej — racjonalna organizacja pracy i ochrona pracy, niedopuszczająca do przeciążenia pracownika.

Oto główne cechy i powody niepunktualności indywidualnej, osobistej. Zwalczać ją musimy, jak to już wyżej zaznaczono, z jednej strony na drodze kuracji psychicznej: wyrabiania orjentacji czasu i hartowania woli; z drugiej — przez naukową organizację pracy domowej, zawodowej i społecznej.

Natalja Jastrzębska.

REGINA ZIENKIEWICZOWA

O ZOFJI URBANOWSKIEJ

Z cyklu „Promienne”.

...Padł promień słońca na czarne kolumny szpalt. Zabarwiła się wstążka czerwona. Ciepły podmuch jakiejś dalekiej wiosny, echa niezapomnianych słów. Jesiony i brzosty, olbrzymie grona akacji różowej i przedziwnie wonnej... Tulipany i szafirki. Wisła i ziemia najczarniejsza, płodna. Zajączki i szmer strumieni. Granity i jaskółcze chleby, strzałki piorunowe i wykopaliska prasłowiańskich urn... Dzieciństwo, dzieciństwo jasne, a zamyśłone, nieocknięte jeszcze, a już wszystko wiedzące. A na jasnym tle rodzinnej wioski postać jakaś nieznana, a przeczysta, i bardzo, bardzo droga.

Zofja Urbanowska!

...Ja nie wiem o niej. Nie znam ani jednego dnia, ani jednego faktu z jej życia. A duszę mam pełną dotąd jeszcze przedziwnego czaru, jakim darzyła mnie i moje pokolenie. Jej i Marji Julji Zaleskiej zawdzięczam, że moje dzieciństwo było takie bogate i pełne niezwykłości, że żyłam na wyspie cudownej, nieznanej nikomu, otwierając radosne i zdumione oczy na zjednoczone państwo króla Bożydara pod władzą jego synów, niezgodnych kiedyś królewiczów. Że uczyłam się z zapalem z otwartej księgi przyrody jej precudownych zjawisk.

Atlanta, wyspa Atlanta. Ta właśnie wyspa Atlanta, na którą „ambasador” „Wieczorów Rodzinnych”, Janek sierota, pojechał ze specjalną misją odzyskania zdrowia. Wyspa, nad której spokojem, wobec emulujących ze sobą trzech królestw, czuwał przemądry mistrz Abrakadabrus, w śpiczastej czapce z pompkami i luźnej sukni chaldejskiego mędrca. Wyspa gościnna, gdzie znalazł schronienie Wygnaniec (serce dziecięce, przyuczone do ukochania bohaterskich zmagających o wolność Polski, rychło przeczuło w nim powstańca), a Janek sierota, zaszczycony w tym czasie godnością paza królewiczowej Jagódki, niespodziewanie odzyskał w nim dawno utraconego ojca.

Tego się nie czytało — to się połykało chciwie, wyczekując dnia i godziny, w której listonosz w drżące ze wzruszenia rączki włoży numer „Wieczorów Rodzinnych”. A gdy „Wyspa Atlanta” wyszła w pięknym wydaniu książkowym, była jednym z najdroższych upominków gwiazdkowych.

Tak, tego się nie czytało. To się przeżywało powtórnie. W jakiejś prastarej nadwiślańskiej Głównie wyrósł dwie małe przyjaciółeczki archeologa Pana Tarczyńskiego. — Niuta i Dziuta, jak je nazywał — rozumiały już powagę prasłowiańskich cmentarzysk-żalów i krasę słuckich pasów, przykrawanych na stare ornaty. W Głównie ożyła wyspa Atlanta. Znało się każdy kamień, każdy pęd roślinny, marzyło o zdoby-

ciu klucza Lineusza, aby odcyfrować imiona i przynależność rasową każdej szalwi, podbiału, żywokostu, łąk królowej, miodowników, firletek i tylu nieznanych roślin. Jaka była radość, gdy się rozpoznało, że brunatny kłos, złożony z misternych, małych kwiatków, to storczyk błotny, krewny oddalonych, tropikalnych kwiatów-ptaków! Kochało się każde ziarno kwarcu, granity i gnejsy, szpaty polne i błyszczące kawałki miki. Cieszyło się gładkim krzemieniem. Brało się odłamki rozstrzelanego kamienia i świeżą jego ranę obracało na światło. Palily się maleńkie szybki słonecznym pożarem i śniła dusza o odkryciu drogocennych djamentów, któreby można garściami sypać na narodową sprawę...

Najukochańsza ze wszystkich, Królewiczowa Jagódka, pani drzew i kwiatów, zdawała się pobudzać maleńki, dziecięcy czyn. Aleją morwową, za śliwnik, do malej studzienki w dole biegły dziecięce stopy, oślizgując się na tłustej glinie, po wodę dla roślinek, omdlałych w żarze południowego słońca. Dziewczynki dźwigały oburącz, drząc od wysiłku, drewniane, ciężkie kubły. Łatwo było zbiec do studzienki, z małym ciężarem pustych kubłów „z górki na pazurki”. Ale wejść... och, jakże wysoko! O, już zaczyna się rząd morw młodych! O, już staruszka morwa, babka szpaleru, tuż, tuż na zakręcie! a dalej równe, wiślanym żwirem wysypane uliczki, a przy nich rabaty i klomby spragnione...

„Seler” się złości, że panienki „leją się i leją” a przecie po Bożemu przykazaniu w dzień się kwiatów nie polewa, bo to im szkodzi, bo to jest, jakby kto warem kwiaty polewał — ale czy serce dziecięce może patrzeć spokojnie na czyjaś krzywdę? Choćby rączki zarzucić na szyję... Choćby wodą, jak leżką, pokropić roślinki starego sadu w to skwarne południe lipcowe...

Dziadziuś, kapitan powstańczy, dziedzie Główny, gderze na kamienie.

— Biedę przynosicie do domu! Biedę i tyle! A powyrzucać mi to proszę, natychmiast!

Błagalnym wzrokiem patrzą na dziada. Rozkaz to istotnie, czy Boże daj, żart?

— Słucham, dziadziusiu, w tej chwili! We dworze, naturalnie, że trzymać nie będziemy za żadne skarby! Ale u nas w oficynie, w murku...

Murku drogi, tajemnic pełen murku! Tam w grubej szklance krystalizuje się sól z rozcynu; tam, według niezawodnego przepisu „Wieczorów Rodzinnych”, wytwarza się wonny olejek z fiołków i wyprószonej u gospodyni oliwy. Tam są strzałki piorunowe, krzemienie, jakieś poźółkle kości (krzyżackie nieza-

wodnie!), kilka epruwetek z torfem, nadwiślańską rudą żelazną (która tak na złość niemiłosiernie płami sukienki), tam wreszcie przepyszne gipsy, gwiazdki, grudki, a nawet krzyże, własnoręcznie znalezione na nadwiślańskim urwisku pod Dobrzyniem. Na ławie pod murkiem leżą starannie zbierane i przechowywane zieleniki.

A za oficyną świat Pióropuszką. Cudne, mądre konie; opasłe, mleczne krowy; psy podwórzowe i wyżlica Leda; koty, ze starą Mołskową na czele; drób domowy, gołębie, wróble i sroki, niekiedy jastrząb straszliwy, niekiedy tajemniczy, grozę budzący, pułacz. I Truska, zajacek, na rękach wychowany, ulubiony, a potem z bólem serca — puszczone na wolność — o wiośnie...

Czy możnaby kochać i rozumieć tak świat cały — gdyby nie wyspa Atlanta? Długie zimowe wieczory w zasypanej śniegami Głównie schodziły na „zabawach w wyspę Atlantę“. Ile pomysłów natchnionych, ile wzruszających i niezwykłych przygód przeżyło się w te spokojne i jednostajne dni dziecięce, dzięki Zofji Urbanowskiej! I może nawet sławna i wielką poczytnością, oraz wpływem na ówczesne dziewczęta ciesząca się „Księżniczka“ nie zrobiła na mnie tak wielkiego wrażenia, jak „Atlanta“, o której i dziś myślę, że mogłaby konkurować o lepsze z „Cudowną podróżą“ Selmy Lagerlöff. Wiele cudowności przestało być niemi od owych lat, ale czar pozostał nazawsze.

Prześliczna „Wojna w czasie pokoju“ poruszyła głęboko niejedno serce dziewczęce. I żałowano, że Pani Urbanowska tak mało swych cudnych bajek zdołała napisać.

Pytałam o nią ludzi. Jak żyje, czym się zajmuje, co ją cieszy i smuci? nad czym zamyśla się głęboko, gdy na chwilę jest sama tylko z własną swoją duszą? Pytałam, bo bałam się, że i ja, jak tysiące kobiet, mających „własny dom“, a nie mających „praw“ i „specjalizacji“, czyli zawodowego wykształcenia, wchłania coraz głębiej i głębiej bezden życia codziennego. Że zapoznany w domowym otoczeniu dar Boży — talent — ciężarem swej wartości opada na dno otchłani, jak skarb zaklęty, wówczas, gdy świat jest ubogi, spragniony i głodny...

Mało dowiedziałam się o Zofji Urbanowskiej od ludzi. Zaimponował mi Konin, jeden z niewielu ośrod-

ków, umiejących uczyć swoich zasłużonych. Jest w tem niewątpliwie wiele osobistej zasługi jubilatki, że umiała dać się pokochać, ale obywatele m. Konina wykazali wyższość nad wieloma środowiskami: wdzięczność jest u nas najmniej rozpowszechnioną cnotą i niejednen z zasłużonych przewodników Narodu nie doczekał się żadnego jubileuszu...

Więc i nadal nic nie wiem o Zofji Urbanowskiej. Zachowałam dla niej podziw i miłość mych dziecięcych dni. Struna tego uczucia odpowiedziała odrazu, gdy wzrok padł na szpalty gazety, gdzie w promieniach odznaczenia „Polonia Restituta“ ukazało się jej imię. I pomyślałam sobie, że nareszcie, po tylu latach mogę jej o uczuciach swoich dziecięcych powiedzieć.

„Wyspa Atlanta“ Urbanowskiej poraz drugi zatonała w odmętach oceanów: ostatni jej nakład jest zupełnie wyczerpany. Lecz trzeba, aby ożyła, aby dotarła do rąk wszystkich dzieci, zwłaszcza mieszkających na wsi, stykających się bezpośrednio z przyrodą.

Kiedys, gdy Wanda i Jagoda zamykały Tajemnicę w pniu starej sosny, ocieniającej biały ich dworek w Sulejówku, zapragnęłam dać im do rąk „Wyspę „Atlantę“. Czułam, że skarbiec ich przeżyć wzbogaciłby się radośnie, że znalazłyby oparcie dla swych skrzydlatych rojeń. Lecz nigdzie nie mogłam znaleźć książki: wyczerpana! I tak mi było żal, bo tamte chwile już nie wrócą. Wanda i Jagoda mają już inny świat, cały świat przed sobą. A „Wyspa Atlanta“ leży na przepastnym dnie oceanu niepamięci. Czy nie mogłaby iść o lepsze z „Cudowną podróżą“ Selmy Lagerlöff? I jaki przebogaty scenarjusz do filmu naukowego mogłaby dać Urbanowska na tle przeżyć „ambasadora“ „Wieczorów Rodzinnych“ na cudownej wyspie! Czyż legendarna Atlanta nigdy nie wynurzy się z fal? Czy pochłonęły ją na wieki?

Nie! już nurkowie spłynęli w odmęty. Już odszukanali skarb, już go unoszą ku słońcu. Już wśród huczących fal miga bandera okrętu: czerwien gorąca wstęgi orderu *Polonia Restituta*!

Zofja Urbanowska powraca do nas. Powraca w chwale. Spotkajmy ją z miłością naszych dziecięcych lat, pragnieniem, by tak trafiła do serc naszych zstępnych pokoleń, jak wzięła sobie naszą wdzięczną cześć — *nazawsze!*...



HALINA M. DĄBROWOLSKA.

PODWÓRZE

INDYCZKI.

Małe czaszki na wątlých szyjach, pochylone plecy słabowitych paniąt, głowy drobne, chowane w pierze obawą i wstydem. Arystokratki podwórza.

Są dyskretne, ciche, zawsze w swoim kółku.

Bez matki, którą psy rozszarpały, w wieku podlotków zostawione same sobie, chodzą odosobnione, nigdy nie natrętne.

Gdy jestem na podwórzu, suną rzędem za mną, baczne na odległość. Proszą cicho. Jeśli siądę, stężeją w koło mnie, milczące. Głowy podnoszą i patrzą uważnie. Często siwa powieka zasłoni oczy nieduże. Tak, wsparte na jednej nodze w postaci antycznej — zasną. Święte Ibis polskiej zagrody.

A może nie śpią, tylko marzą... (Wyśmiana zaduma indyka). Może śnią minioną swoją świetną przeszłość, palmy, pustynie i swój bieg, dziś karły, ponad wszystko szybszy — niegdyś króla ptaków.

KURY.

O grubych kościach, tęgich nogach, krępe, prowadzone przez dropiatego koguta, stanowią autonomiczne państwo w państwie dworu.

Prawie się ich nie żywi, zato one w posiadanie wzięły sad, ogród, podwórze, pola — plaga wieczna psów i służby.

Niema w nich nic zamyślenia, obawy, czy braku przystosowania. Czyste, pogodne, w wielkiej gromadzie prowadzą żywot regularny, według ustaw koguta. Grzebią niestrudzenie cały dzień ziemię, chowają trzeźwo dzieci, podporządkowując wątlý instynkt macierzyński obowiązkom żony.

Rzadko która kokoszy się w ziemi, leniwa. Wnet poczuwszy na grzbiecie razy, zbита wraca do roboty.

Jeść, nie wiadomo kiedy i czy przyjdą, obojętne na zwyczaje podwórza, uważne zato zegarom pięjących kogutów.

A koguty, wznosząc się na płoty, ponad niski poziom pracy kurzej, pieją unisono godziny ranka, południa, wieczora i nocy. Kapłani czasu, głosem swoim odmierzają nieskończoność.

ŚWINIA.

Ach, jakże udręczona jest swoim macierzyństwem, nieszczęśliwa miłością!

Na cienkich nogach niesie swój kadłub olbrzymi, nos krótki, przepięty drutem, po ziemi sunie; oczy małe, jakgdyby ich wcale nie było, szparki niebieskie, głupie, smutne podnosi ku mnie błagalnie.

Wymiona nabrzmiąle sunie po piasku, brudne. Ryje niechętnie, wołając dzieci. A te, różowe swoje pyszczki pchają w jej brzuch, trącąc, skubią. Mrowi się tego pełno natrętne, oczom moim ukazując już tylko kielbaski kręconych ogonków.

Matka ucieka, odpędza, gryzie; wreszcie, klękając na przednie kolana, pada na ziemię.

Ile wrzawy! Prosięta pokrywają ją całą, chodzą po niej, każde szuka swojej własnej piersi, którą tylko ssie od urodzenia. Gryzą ją. Matka cicho jęczy, niby śmiertelnie złożona. Czternaścioro pysków, każdy u swojej sutki, otwiera się miarowo, jednocześnie.

Wkońcu cała rodzina usypia.

WOŁY.

Na kilka dni przed sprzedażą zgromadzono woły setkami, tysiącami w odpowiednich budynkach, niedaleko domu. Wtedy można było się dosyta napatrzeć ich smutnej piękności.

Szare stepowe olbrzymy. Rogi rozpostarte, niepomiernie wielkie: coś, jak skrzydła, symbolowe wołania — tęsknoty. Oczy wielkie, smutne.

Woły były ciche, dobre. Posłusznie orały ziemię i woziły gnój. Nie biły się między sobą i chętnie zgadzały się na wszystko, co im kazano. Może były zadowolone ze swego losu. Tylko kiedy pędzono je z pastwiska, albo przy pługu, tak lubiły odwracać głowy i patrzeć poza siebie.

Długo.

Cóż widziały w dali?...

Po latach, w wielkiem mieście, stłoczone w ciemnej ulicy, spotkałem woły stepowe. Szły w gromadzie. Nogi miały pokrwawione od kamieni, wylękle oczy. Pędzono je na rzeź. U wylotu placu dano im odpocząć.

Wówczas zwyczajem swoim odwróciły głowy wstecz, poza siebie. Patrzyły. Zrozumiałem wtedy ten gest, dyktowany instynktem. Ową chęć zamknięcia w oczach tego, co się traci.





1. Chillon. Jour d'Orage.

Zamek Chillon w dzień burzliwy.

WANDA GRABIŃSKA

NAD LEMANEM

Wspomnienia z podróży po Szwajcarii.

Genewa. Miasto wielkich tradycji. Centrum reformy religijnej Kalwina. Miejsce urodzenia Jean Jacques Rousseau. Siedziba Voltaira, z której wysyłał swoje światoburcze idee. Dziś — Ligi Narodów.

Wychodzę na miasto. Poranny ruch ulic. Genewa zdąża do pracy na... rowerach. Podziwiam niewiasty, sunące na dwóch kołach z dzieckiem u ramion i koszykiem na zakupy przy kierownicy.

Tuż za progiem hotelu uderza mnie w oczy szmaragdowa tafla jeziora, ujętego w prawidłową ramę ulic. Żelazne ramiona dwóch potężnych mostów: Pont du Mont Blanc i Pont de Bergue — spinają po obu stronach Lemanu rozpostartą Genewę.

Miedzy niemi maleńka, zadrzewiona wysepka Rousseau ze statuą poety. Przechodzę na Quai du Mont Blanc. Szeroka aleja nad jeziorem. Równe rzędy potężnych platanów biegną wzdłuż niej. Szaro-białe, karłowate, nagie konary sterczą ku górze, niby w bezsilnym gniewie zaciśnięte szpony czarownic.

W czystym, jasno złotem powietrzu po drugiej stronie jeziora widać wspaniałe łańcuchy górski Alp, ostre zarysy śnieżnych szczytów.

Idę dalej aleją Wilsona. Wkraczam w bocznicę. Jeszcze parę kroków — staję przed Palais des Nations — siedzibą Ligi Narodów.

Wchodzę do wnętrza. Duży hall, umeblowany bardzo skromnie. Podwójne szklane drzwi i ciężkie kotary przegradzają go od parterowej sali, gdzie odbędzie się posiedzenia Komitetu.

Szereg stolów, rozstawionych równolegle, na nich kartki z oznaczeniem miejsc wszystkich narodów. Przechodzę kurytarz. Tuż obok duża oszklona sala. Tu

odbywają się wielkie zgromadzenia. Tu jest kuźnia międzynarodowych idei, paktów Ligi Narodów. Ma ona do dziś dnia zwolenników i przeciwników. Dla utopistów jej hasła naczelne są niedość pełne; dla realistów to, co jest, wydaje się zbyt utopijne.

Niemniej jednak jest ona dziś jedynym urzeczywistnieniem zagadnień, które w różnych postaciach nurtowały ludzkość.

Pakt Ligi Narodów — to synteza prób i wysiłków w kierunku stworzenia pokoju i „złagodzenia cierpienia na świecie”; to dążenie do wykarczowania idei wojny.

Postulaty, wyrosłe z przesyconych krwią pól bitew — od epopei napoleońskiej do wojny światowej — stały się kamieniem węgielnym Ligi.

Na nim to narastały instytucje, zmierzające do nadania tym hasłom kształtów realnych.

Powstał więc szereg pokrewnych celów, uzupełniających pierwowzór, i w ten sposób Liga Narodów ogarnęła rozległe — dziś niemal wszystkie — tereny myśli ludzkiej i palących potrzeb ludzkości.

Tem samem dynamika życia międzynarodowego zyskała potężne ognisko, stale zasycane przez zrozumienie, że świat cały jedno stanowi gospodarstwo, a życie narodów, nawet od siebie odległych, zazębia się ściśle i nierozzerwalnie; zrozumienie uzupełnia ideę narodową, miłość własnej ojczyzny.

Boć na Dobro całej ludzkości składać się musi spokój i rozkwit wszystkich jej społeczeństw, i odwrotnie: ogólna harmonja podnosi dobrobyt narodów.

Ten natłok myśli niechybnie ogarnia każdego, kto pierwszy raz wstępuje w te progi; a cisza i spokój,

w jaki spowity jest pałac Narodów, sprzyja kontemplacji.

Przez szklane ściany widać zadrzewiony taras pałacu, wspaniałe drzewa magnolji w królewskiej krasie wiosny, w bladuróżowej ulewie subtelnych, podłużnych kielichów na tle modrej tafli jeziora i pastelowych zarysów gór.

Wracam na salę posiedzeń. Kipi ruch i życie. Powitania, wymiana uprzejmości. Prawie wszyscy delegaci znają się już, przyjeżdżają tu od paru lat zrzędu. Nowicjuszków takich, jak ja, jest niewielu. Z ciekawością przyglądam się tym ludziom z czterech stron świata.

Siwa, szlachetna głowa przedstawicielki Danji odcina się od tła. W zarysie twarzy, w jasnych, spokojnych oczach przebija niezłomność i siła; nieco antyczny, starą koronką przybrany strój dopełnia tę sylwetkę ze starego portretu.

Tuż obok biała głowa ambasadora Reynaud, typowa głowa francuskiego starca.

Nieco dalej mała figurka japończyka. To monsieur Ku-sa-ma. W ciemnej twarzy pogodnej, czarne oczy i łagodny uśmiech. Rodak jego m. Ito, o ostrym, papuzim profilu i przenikliwym spojrzeniu, będzie tego roku prezydował naszym obradom.

Anglicy i amerykańskie do rozpoznania na pierwszy rzut oka. Sztywność, chłód, poprawność. Okulary w ciemnej oprawie, nie opuszczająca ust fajka...

Słychać tylko angielski i francuski: języki oficjalne Ligi.

Prezydent uderza w mały dzwonek. Delegaci zajmują miejsca. Posiedzenie otwarte. Rozpoczynamy pracę w komitetach walki z handlem kobietami i dziećmi i opiece społecznej nad dzieckiem.

Niesposób tu streścić nawet wyniku tych obrad. Mogę tylko stwierdzić, że w toku prac niejednokrotnie państwa młode i nowopowstałe wyprzedzają świeżością idei wielkie mocarstwa Zachodu. Te zaś dorzucają do tej inwencji doświadczenia swych starych organizacyj. W ten sposób odbywa się wymiana zdobyczy cywilizacji w duchowym i materialnym zakresie.

Co więcej — ogólna dyskusja delegatów staje się egzaminem tego, co się czyni w każdym kraju. Odpada etykieta *wielkiego i małego państwa* — istotny jego rozwój zaczyna się mierzyć stopniem kultury i wynikiem prac. A dokumenty i krzyżowy ogień pytań strącają wszelką okrasę, łuskając jądra prawdy. Na tem tle — szlachetne współzawodnictwo. Żaden naród nie chce zostać wtyle.

Więc z okopu dokonanych prac padają strzały argumentów i dowodów.

Obrady trwały codziennie od rana do wieczora. Ani chwili czasu na spacer — zwiedzanie miasta. To też z radością przyjmuję zaproszenie ministrowej Sokalowej na niedzielną wycieczkę wkoło jeziora.

175 klm. nad brzegiem Lemanu!

Wyjeżdżamy popołudniu.

Pogoda niepewna. Raz poraz ciężkie chmury zasłaniają słońce.

Szybko przecinamy miasto, drzemające w niedzielnej ciszy. Zdażamy na południowy brzeg jeziora.

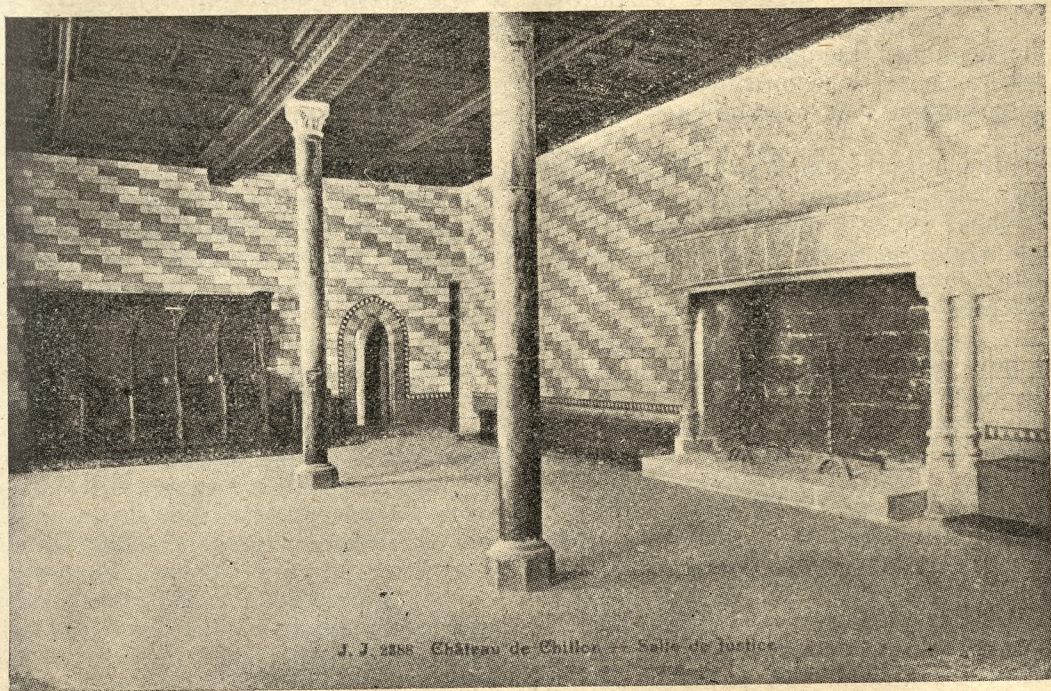
Gładką szosą mkniemy w stronę Francji. Z lewej strony wybłyskuje ku nam lśniąca tafla wody, szmaragdowej w słońcu i gasnącej w szarem odbiciu nagle przepływających chmur; z prawej uśmiecha się do mnie, mieszkanki Północy, świeża, soczysta zieleń, przetykana kwieciami.

Strzeliste, jasno żółte kwiaty, jak w górę tryskające strugi roztopionego złota, bladuróżowe bukiety drzew brzoskwiniowych i nieco śmieiej płożące gruszki japońskie; skromne, białe koronki krzaków cierniowych, — wreszcie róża dalekiego wschodu, ponsowa róża japońska, buchająca tu i owdzie ognistym krzykiem wiosny.

Otulone ramionami ogrodów, małe, jasno malowane domki szwajcarskie, z zielonemi okiennicami, stoją ciche i bez życia, jak zabawki, porzucone przez beztroskie dzieci.

Na pustej drodze czasem ukaże się tylko jakaś postać na rowerze, z rozpostartym parasolem nad głową.

Dojeżdżamy do granicy francuskiej. Stop.



J. J. 2188 Château de Chillon — Salle de Justice

Zamek Chillon: Sala sądu.



Château de Chillon. Salle des Chevalliers

Zamek Chillon: Sala rycerska.

Sprawdzanie paszportów. Za chwilę jedziemy już po ziemi Sabaudzkiej, mijamy szereg miasteczek: Thonon, stolicę Sabaudji. Evian les Bains, ulubione miejsce kąpielowe paryżan.

Krajobraz zmienia się w oczach. Potężne, granatowo sine ściany Alp przybliżają się do nas, a wraz z nimi jakaś rudość jesienna, wypelzła z pod stopniowych śniegów, nie zmieciona jeszcze technieniem wiosny.

Jednocześnie z nieba znika ostatni promień słońca. Białe welony mgły kładą się na szczytach gór, podpełzają aż na taflę jeziora. Niebo zespala się z ziemią.

Pędzimy szybko poprzez mgławicę kształtów nierealnych.

Zbliżamy się do końca Lemanu. Mijamy ujście Rodanu, który wlewa się tu w jezioro brudną, mętno kawową falą, i za zakrętem jesteśmy znowu w Szwajcarii.

Stąd widać już Chillon! Zamek w Chillon!

Bastylja szwajcarska książąt sabaudzkich z XII wieku. Pomnik zimnej tyranji ludzkiej. Szare bloki kamiennych ścian wrzynają się w jezioro. Proste dachy krępych wież łączą to gniazdo murów, raczej smutne, niż złowroge.

Stajemy.

Drewniany most łączy miasto z wysepką. Przechodzimy się do zamku. Podwórzec mały i ciasny. Wąskie, kamienne schodki prowadzą do wnętrza. Tu dopiero zaczyna się bajka średniowiecza. Tu można zrozumieć natchnienia Shelleya i Byrona, który w ciągu jednej nocy pisze swego „Więźnia z Chillon”. Dolne sale zamku wykute prosto w skale. Stapa się po nierównych złożach kamiennych. Niema tu drzwi, tylko w kamieniu wykute przejścia. Wąskie wyloty w górze przebitych okien zasnuje siecią pajęczyn, niby misternym witrażem... Szarość... chłód... i cisza. Słychać tylko lekkie szemranie fal, podbiegających do stóp skały.

Tu patryjota genewski Bonivard pędził długie la-

ta, przywiązany do kolumny tortur.

Uwięziony przez księcia sabaudzkiego za obronę swobód Genewy, zwolniony przez powstańców z pomocą berneńczyków.

Przechodzimy do górnych sal zamku.

Duża komnata rycerska urządzona i zachowana tak, jakby tu za chwilę wkroczyć miała gromada kawalerów...

Głęboki komin z okapem, osmalonym na czarno, jakby wczoraj przestało się tu dymić... Pękate kotły i kociołki na żelaznych prętach czekają beznadziejnie na gorący uścisk ognia.

Ciemne, długie stoły i proste krzesła zamarły w wiecznym nieużytku... Dziesiątki metalowych puharów stoją z wyschniętą gardzielią...

I tylko blade malowidła herbów, na ścianach się panoszące, są jedynym wspomnieniem tych, co kiedyś głośną butą napelniali twierdzę Sabaudji.

Mijam jeszcze salę sądową, pokój tortur, kaplicę, pokoje gościnne.

Mimo martwoty — budzą wrażenie życia. Wieje z nich jakiś duch siły nieugiętej, niezmierzona potęga czegoś, co przerasta grób i wlewa życie w kamień... Trudno oderwać się od błędzenia po tym uroczym wnętrzu.

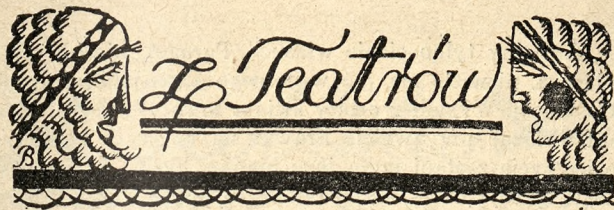
Wychodzę ostatnia z ciemnych murów.

Za chwilę znów pędzimy po szosie. Czarnym, asfaltowym węzem wije się tuż nad brzegiem jeziora. Przejeżdżamy rojne Montreux, modny Bad — Vevey, gdzie umarł Sienkiewicz; mijamy na wzgórzu położoną Lausannę, pełną gwaru studenckiego życia, i Morges, gdzie mieszka Paderewski.

W przelocie przez Coppet widzę pałac pani de Stael, wielkiej córki Neckera, ministra Francji.

Zwolna zapada mrok. Stoki góry wytryskują setkami drżących światełek, — gdzieś aż na zawrotnych wysokościach.

Wpadamy na przedmieścia Genewy. Znowu aleja Wilsona. Pozdrawiam Pałac Ligi, gdzie jutro rozpocznie się szara praca.



TEATR NARODOWY.

„Niebieski lis” — komedia w 5 aktach Franciszka Hercsego
Przekład Niny Niovilli. Reżyserja Janusza Warneckiego. Deko-
racje Wincentego Drabika.

Przedziwny urok ma miłość niewyznana, jeszcze więk-
szy — miłość nieświadoma. Dlatego to zapewne dwa pierwsze
akty „Niebieskiego lisa” zniewalają widza czarem niedomówień,
drapieżnem, a zarazem błędnem kołowaniem myśli, pragnień i
słów około jednego nienazwanego ogniska miłości.

Czar ten bezpowrotnie zacięra akt trzeci. We wzajemnem
wyznaniu likwiduje piękny konflikt dwojga ludzi, którzy tak
interesująco mijali się w miłosnym kontredansie, a tak szablo-
nowo padli sobie w objęcia w jego matrymonjalnym epilogu.

„Niebieski lis” ma tutaj dwojakie znaczenie: czysto for-
malne i symboliczne. Jest pretekstem, który ułatwia pięknej i
kapryśnej kobiecie częste, a niepodlegające kontroli wyprawy
na miasto (kupno niebieskiego lisa wymaga przecież niebyleja-
kich przedwstępnych wywiadów); jednocześnie jest symbolicz-
nym odpowiednikiem Ilony, która, zgodnie z naturą polarnego
zwierzątka, wśród śnieżnych zasp szuka sobie niezmordowanie
ciepłego gniazdko, w którymby mogła ukryć się ze swoim
szczęściem.

Tem upragnionem gniazdkiem dla Ilony mogą być tylko
objęcia Tibora. Stara się je zdobyć wszelkimi sposobami, do-
stępniemi dla „niebieskiego lisa”: podstępem, symulacją, czy też
istotną próbą zdrady (ta sprawa nigdy dostatecznie nie zostaje
wyjaśniona), wreszcie świadomym wywołaniem skandalu i opu-
szczeniem męża, uczonego profesora Paulusa, który dla „niebie-
skiego lisa” był tylko odskocznią w krainę walki o miłość.

Kto wie, czy ten Paulus, pod pozorami łatwowierności i
naiwności profesorskiej ukrywający filozoficzną wyrozumia-
łość dla natury ludzkiej, czy ten niedźwiedziowaty mędrzec o
gołębiem sercu i duszy dziecka, ten oportunistą życiowy, pozwa-
lający się oszukiwać i wodzić za nos z miną niedołęgi i filuta
zarazem — kto wie, czy nie jest on najoryginalniejszą, najbar-
dziej konsekwentnie przeprowadzoną i najgłębiej pojętą posta-
cią w całej komedji. Może do tego wrażenia przyczyniła się sub-
telna i pełna finezji gra Brydzińskiego, który zasugerował
nas swoją wiarą w taką, a nie inną koncepcję Paulusa.

Pozostałe postacie nie mają już tej konsekwentnej linii
psychologicznej. Świetna gra Ćwiklińskiej wydobyła z Ilony ra-
czej nieobliczalność, zmienność i chytryść „niebieskiego lisa”, niż
jednolitość uczuciową kobiety żywiołowej, która pod maską ka-
meleona ukrywa zazdrośnie hodowaną namiętność do jednego
wybranego mężczyzny.

Godnym wybrańcem tej nietylko wiernej, co stałej miłości,
był Różycki w roli Tibora. Zdaje się, że mało wysilił się na opra-
cowanie roli. Wystarczyło, że był sobą: uniwersalnym, niebez-
piecznym mężczyzną. To „niebezpieczeństwo” tuszował jednak
dość dyskretnie. Natomiast Gromnicka niepotrzebnie przeszar-
żowała rolę Lizy. Gęś, udająca łabędzia, jest typem tak pospo-
litym, iż nie trzeba go podkreślać wulgarnymi ruchami i krzy-
kliwością. Maniery przekupki — to trochę zamało na ekwiwa-
lent wykwinnego uroku Ilony, której Liza jest następczynią.

„Niebieski lis” jest jedną z tych sztuk, które nieprędko
się starzeją i niejednokrotnie mogą jeszcze być wznawiane, za-
wsze w dobrej obsadzie i starannej reżyserji. Ten wdzięczny sa-
lonowy bibelotek wymaga bowiem japońskiej subtelności rysun-
ku. Pospolita robota gubi go z kretelem.

TEATR LETNI.

„Ciotka Karola” — krotchwila Thomasa. Reżyserja Chaber-
skiego.

„Ciotka Karola”, krotchwila, pisana dla naszych dziad-
ków, bawi i śmieszy już trzecie pokolenie widzów, dzięki naj-
prymitywniejszym receptom na humor, zapomocą których pre-
paruje się domowe „niezawodne” drjakwie. Komizm „Ciotki Ka-
rola” zalatuje wprawdzie starą apteczką, ale ta jej dobrodusz-
na archaiczność stanowi może jej główny wdzięk. Coś, jak kan-
wowa robótka prababki, albo wiśniowy cybuch dziadunia.

Spróbujmy na chwilę zasiąść przy tamborku, albo zacią-
gnąć się zwietrzałym tytoniem z okopconej fajki! Spróbujmy
śmiać się beztróskim śmiechem tych studentów z Oxfordu —
śmiechem, w którym odżyją nasze własne figle sztubackie i pen-
sjonarskie, wakacyjne baraszkowanie rasowych żrebców, nieza-
pomniane wagary młodości.

W „Ciotce Karola”, w tem „pogotowiu ratunkowym” se-
zonu ogórkowego, znaleźli pole do popisu dwaj znakomici ko-
micy: Kurnakowicz i Orwid. Obaj bawili się tak dobrze, że nie
żał było ich świetnych talentów na tę błazeńską maskaradę, któ-
rej zdrowa bezmyślność działa na psychikę widza, jak zabieg
hydropatyczny: odświeża, orzeźwia, uodpornia na przerost in-
telektualizmu. Inna sprawa, że ofiar tej choroby w Polsce nie
mamy za dużo.

Oprócz Orwida i Kurnakowicza, którzy utrzymali swoje
role w linii, konsekwentnie stylizowanej na karykaturę, reszta
wykonawców nie wyszła poza jednostajny szablon marionetek
scenicznych, puszczonech w ruch ręką doświadczanego reżyse-
ra. Tej ręce zawdzięcza sztuka właściwe tempo: cwał niedorzecz-
ności, które mają swój utajony sens: fizjologiczną funkcję
śmiechu.

S. P. O.

KSIĄŻKI NADESŁANE
DO REDAKCJI

NAKŁAD KSIĘGARNI F. HOESICKA.

Tadeusz Peiper: „Tędy” — artykuły.

Jan Lorentowicz: „Dwadzieścia lat teatru” — tom drugi.

TOW. WYDAWNICZE „RÓJ”

Janusz Meisner: „Szkoła Orląt” — Warszawa — 1930.

TOW. WYDAWNICZE „POLSKA ZJEDNOCZONA”

Juljusz Baytowski: „Złe i gorsze”.

NAKŁAD KSIĘGARNI „POLAK-KATOLIK”

Ks. Józef Spillmann T. J.: „Tajemnica spowiedzi” — z nie-
mieckiego przełożyła Stella K.

TOW. WYDAWNICZE „KRONIKA RODZINNA”

Zofja Porejko: „Pan Jezus i Dziecko”. Najbliższe przygotowa-
nie do Pierwszej Komunji Świętej.„Na straży praw kobiety”. Pamiętnik Klubu Politycznego Kobiet
Postępowych 1919—1930 r. W opracowaniu Sylwji Bujak-
Boguskiej.Sprawozdanie Stowarzyszenia „Rodzina Wojskowa” za rok spra-
wozdawczy 1929—1930.

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

Eric Mjöberg: „Borneo, w krainie łowców głów“. Przekład K. Cz. Rex Beach: „Syn bogów“ przełożył z angielskiego Jerzy Marjusz Taylor.

Marja Buyno-Arctoma: „Wyspa mędrców“.

X. Wojciech Mieszkowski: „Znajomość ludzi czyli o temperamentach w życiu ludzkim“. Kraków 1930.

Zofja Zawiszanka: „Córka Boga“ — opowieść o Joannie d'Arc. Warszawa — 1930. Nakładem Tow. Wydawniczego „Polska Zjednoczona“. Skład główny w Domu Książki Polskiej.

Kadosław Krajewski: „Światosłowie“ — słowiański poemat o wszechświecie. Warszawa 1930. Skład główny Gebethner i Wolff.

Leszek Gustowski: „Kartki z podróży“. Wrażenia, opisy i studia podróżnicze z Algierji oraz terytorjów Południa. — Nakładem „Kupca“ w Poznaniu.

Jan Szczarbiej: „Miłość tworząca“ — poezje. 1930. Związek Wydawniczy Młodych, Warszawa, Al. Jerozolimskie 17.

INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE“

Emil Ludwиг: „Ameryka“ — powieść o Lincolnie — przełożył Paweł Hulka-Laskowski. Dwa tomy.

T. G. Masaryk: „Rewolucja światowa. Wojna o wolność narodów“ — przełożył W. M. Kozłowski.

Henryk Mann: „Błękitny Anioł“ — powieść — przełożył Marceli Tarnowski.

W. B. Maxwell: „Przez zapomnienie ku szczęściu“ — powieść. Przełożył Czesław Jastrzębiec Kozłowski.

Leo Perutz: „Od dziewiątej do dziewiątej — Romans namiętności“. Przełożył Jerzy Konarski.

Leo Belmont: „Pani Dubarry“ — powieść.

„Kochamy tylko cienie własne“. Paragot, niechlujny filozof i łazęga, niewiele ma już wspólnego z genialnym architektem Gastonem. Wypadł z orbity świata towarzyskiego i niezdolny jest związać przyzwoicie krawat na czystym kołnierzyku. Razowiec życia zastąpi mdłą jego piankę. Ferma, zdrowy syn i wierna excytrzystka — służąca-żona — pozwoli żyć z uczciwą prostotą.

Książka zdrowa, pogodna, mocno postawiona, a smak dawniejszego Paryża oddany bez zarzutu.

„Daniel Chodowiecki, jego sceny dziejowe polskie oraz wizerunki królów, modzów, dygnitarzy, uczonych i typów ludowych polskich, rytowane na schyłku XVIII-go wieku“. Wydał Aleksander Kraushar. Warszawa — 1930. Nakładem księgarni F. Hoesicka.

W 1926 r. miasto Gdańsk obchodziło uroczystie dwóchsetną rocznicę urodzin Daniela Chodowieckiego. Pisma niemieckie nie omieszczały przy tej okazji stwierdzić, jakoby wielki artysta czuł się przez całe swe życie Niemcem i berlińczykiem. We wstępie do ślicznie zreprodukowanej kolekcji sztychów, będącej powtórzeniem ilustracji do historyczno-genealogicznych kalendarzyków na rok 1796 i 97, znany badacz przeszłości polskiej i miłośnik jej zabytków, Aleksander Kraushar, zbija to zuchwałe uzurpowanie sobie przez Niemców mistrza polskiego sztycharstwa na podstawie jego własnego listu do Józefa Łęskiego, w którym Chodowiecki pisze:

— „ja sobie za zaszczyt czynię. — być prawdziwym Polakiem, chociażem w Niemczech osiadł“.

Piękna książeczka, wydana w ograniczonej ilości egzemplarzy numerowanych, na wykwinnym papierze, zawiera dwadzieścia kilka sztychów i stanowić może ozdobę każdego zbioru bibliofilskiego.

S. P. O.



J. W. Locke: „Kochany łazik“. — Przekład autoryzowany J. P. Zajączkowskiego. Tom. Wyd. „Rój“ — Warszawa.

Są to dzieje człowieka, nadłamanego przez miłość. Patos jego bohaterskiego wyrzeczenia się kobiety wzamian za większą kwotę pieniężną, którą obraca na odwrócenie ruiny od ojca ukochanej, wystawiając kompromitujący kwit rywalowi — ma w sobie coś z gestów moralnych bohaterów W. Hugo. Po dokonaniu tej transakcji staje się łazikiem, przybierając sobie na „uczniów“ duchowych wiejską cytrzystkę i londyńskiego ulicznika. Romantyzm młodości — listy od ukochanej — składa w starej pończosze i wyzwala w sobie pierwiastki włóczęgi, knajpowego filozofa i wolnego od konwenansów człowieka.

Los chce, że niedobite marzenie wciela się w kształt rehabilitacji w oczach „kochanki pierwszych dni“ i projektów małżeńskich. Okazuje się jednak, że dojrzałe w wędrówkach szersze horyzonty uniemożliwiają zżycie się z ciasnotą i poprawnością angielskiej prowincji.



Daniel Chodowiecki: „Tadeusz Kościuszko“.

Kobieta w świecie i w domu

KEMAL PASZA SKASOWAŁ HAREMY.

W tych dniach zamknięto w Turcji ostatni harem. Kemal Pasza będzie zapewne przez długie wieki błogosławiony w pamięci kobiet tureckich, on bowiem wprowadził je do życia cywilizowanego. Turczynki oddawna były przygotowane do równouprawnienia. Kobiety biedne były zawsze równouprawnione w pracy, spełniając najcięższe obowiązki domowe i zarobkowe, ubożsi turcy bowiem nie mieli haremów, ale jedną żonę, dzielącą z mężem pracę. Zato panie z klas zamożnych bywały zwykle wysoko wykształcone, namiętnie kochały literaturę i sztukę i cierpiały podwójnie nad swą niewolą. Piękna powieść Lotiego „Rozczarowane” odtwarza właśnie te ciche tragedie inteligentnych turczynek.

Dziś należy to już do niepowrotnej przeszłości. Kobiety tureckie zdjęły czarczafy, ubierają się po europejsku, wychodzą na ulicę, podróżują, zajmują posady, otrzymały prawa wyborcze, a ostatnio zniesiono ustawowo instytucję haremów. Tak kazał umiłowany przez naród bohater, „Ghazi” Kemal Pasza.

LEKKO I RADOŚNIE.

Na pojezierzu granicznym Anglii i Szkocji leży urocze jezioro Windermere, cel licznych wycieczek. Chłodny klimat tych stron zmusza turystów do noszenia lekkich a ciepłych swetrów po kąpieli. Na rycinie widzimy okazowe modele zdrowia i wesołości po takiej chłodnej kąpieli.



Teraz ciepło.



Miss Winnifeld Brown.

SKRZYDLATE.

Wkrótce po pamiętnym raidzie Amy Johnson, dokonała znów angielfka wspaniałego wyczynu lotniczego. Na wielkich wyścigach lotniczych naokoło Anglii, w których brało udział 88 najwybitniejszych pilotów, zwyciężyła Miss Winnifeld Brown. Wystartowawszy, jako 14 z kolei z Hanworth, Miss Brown przybyła pierwsza z powrotem, przelatując 750 mil angielskich. Śmiała pilotka zdobyła puchar króla Jerzego, nagrodę wyścigów.

KOBIECA SŁUŻBA LOTNICZA W SOWIETACH

Rząd Sowietów kładzie wielki nacisk na wykształcenie kobiecych kadr lotniczych. Niedawno odbyły się w Leningradzie wielkie manewry powietrzne, w których lotniczki wykazały ogromną sprawność. Po ukończeniu manewrów, mianowano w okręgu leningradzkim p. Kisielnikową naczelnikiem posterunku obrony przeciwlotniczej i p. Turkowską zastępczynią naczelnika obrony przeciwgazowej.

TO O WIELE ZAMAŁO

O ile turczynki przyjęły nadanie im praw obywatelskich z żywym zainteresowaniem, o tyle kobiety greckie bardzo mało go wykazują. Dotychczas przed wyborami zgłosiło się na listy wyborczyń ogółem aż 500 kobiet z całej Grecji; z tych prawie połowa przypada na Ateny, inne, mniejsze miasta liczą znikome ilości, po kilka wyborczyń!

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.



Kobiety rozpoczęły już ważny dział swej pracy na roli.

ŻNIWIARKI.

W jednej dziedzinie pracy kobiety oddawna były równoprawnione: w pracy na roli. Istniał i tu wprawdzie podział zajęć, ale nie obserwowano go zbyt ściśle. Mężczyzna siał i orał, ale ileż razy w tych zajęciach pomagały mu kobiety, a już z chwilą dojrzewania ciężkich kłosów zbożowych, wszystko idzie na równi: żąć, czy snopy wiązać, czy snopy na wóz podawać, przeciwnie, zostawiono nawet jakby kobietom pierwszeństwo: przodownicę. Ważność i pilność robót, wymagająca nieprzerwanej, wyteżonej pracy wszystkich, zdolnych do niej rąk sprawia, że mężczyzna bez „baby“ absolutnie z gospodarstwem nie dałby sobie rady. To też gospodyni czuje się naprawdę „gospodynią“, bez której wiedzy i woli nie się stać nie może w jej państwie, nie tylko w domu, ale w całym rolnym warsztacie. Z tego poczucia czerpią kobiety wiejskie swoją stateczność i powagę, a że są inteligentne i dzielne z natury, garną się do oświaty i do postępu. Dowodzi tego rozwój Kółek rolniczych i chętnie uczęszczanie dziewcząt do szkół gospodarczych.

ZE STOWARZYSZEŃ KOBIECYCH.

Coraz większe uświadomienie społeczne kobiet wyraża się w wydatnem powiększeniu ilości stowarzyszeń kobiecych. Obecnie zorganizowały się polskie prawniczki. Powstał Związek Kobiet z prawniczym wykształceniem, mający za zadanie ochronę interesów zawodowych i wpływanie na sprawy społeczne. Związek wchodzi w skład międzynarodowej Federacji Kobiet adwokatów i prawniczek.

Związek ma przed sobą szerokie pole działalności: poradnie zawodowe, uświadamianie kobiet, których nieświadomość w dziedzinie prawa porównana być może chyba do ich ignorancji w zakresie spraw finansowych, wreszcie, najważniejsze: wyteżoną akcję dla zniesienia ostatniej niesprawiedliwości: dopuszczenia kobiet do sądownictwa.

Energiczna i owocna praca kobiet na polu gospodarczym zyskuje też coraz więcej uznanie czynników miarodajnych, wyrażające się w powoływaniu kobiet do wpływowej działalności. Obecnie przy warszawskiej Izbie Rolniczej powstała Komisja pracy gospodarczej kobiet, do której weszły radczynie pp.: Marja Karczevska i Eleonora Tarnowska. Komisja działać będzie w porozumieniu z C. T. Org. Kółek rolniczych, dla podniesienia poziomu pracy kobiet w gospodarstwie wiejskiem.

Mamy więc polskiego komtura.

Nie jest to podstępny, chytry krzyżak średniowieczny z groźnym mieczem, lecz impreza pokojowo-kulturalna: wystawa międzynarodowa Komunikacyjno-turystyczna — Kom-tur w Poznaniu.

Wysiłek pracy twórczej naszego narodu w krótkim okresie jego niepodległego istnienia jest ogromny; dorobkiem tego wysiłku są w przeciągu dwóch lat dwie wielkie wystawy: Pe-wuka i Komtur.

Wystawa obejmuje dziewięć działów: komunikację ogólną, tramwaje i kolejki, lotnictwo, porty, samochody, turystykę, elektrotechnikę, kartografię, związki międzynarodowe. Jedną trzecią eksponatów nadesłały państwa obce, dwie trzecie stanowią działy polskie. Przyczem wystawcami są zarówno rządy, jak i przemysł prywatny. Każdy wie, jak doniosłe znaczenie ma komunikacja w życiu nowoczesnem, to też fakt, że Polska urządziła jedną z pierwszych taką wystawę, wskazuje, iż umiemy orjentować się w tempie życia i mamy w niem coś do za-demonstrowania.

Gdyby wszystkie narody europejskie, tylokrotnie z od-cieniem wyższości mówiące o swojej kulturze i pokojowej pra-cy cywilizacyjnej, były pracą tą tak do głębi przejęte i tak na-prawdę jej tylko oddane, jak Polska, lepiejby pewno było na świecie i... spokojniej. My jedni szczerze pragniemy móc tylko spokojnie pracować u siebie; u nas jest istotna demokracja, wol-na zarówno od zakusów zaborczości, jak i od pryncypjalnych teoryj komunizmu; niestety, „rodzina“ europejska nie docenia jeszcze wartości Polski i... wpada przykro.

Tak właśnie wpadła teraz Francja. Od pewnego czasu rozgorzała w Paryżu formalna propaganda filoniemiecka. Mniej lub więcej doktrynerskie żywioły radykalne omalż nie wyle-wały nad „nieszczęśliwymi“ Niemcami; nawet taki stary wyga parlamentarny, jak Briand, poszedł na lep tych teoryj. Wywar-to energiczny nacisk na rząd, aby znieść powojenną okupację Nadrenji, a że w Anglii Niemcy też potrafili zdobyć sobie przy-jaciół, zwłaszcza niektóre wielkie dzienniki, pozostające otwar-cie na żoldzie niemieckim, ewakuacja Nadrenji, o wiele wcze-sniejsza, niż przewidywały warunki pokojowe, została dokonana.

Rezultaty nie dały na siebie czekać. Zaledwie wojska oku-pacyjne opuściły Nadrenję, rozpoczęły się tam masowe pora-chunki nacjonalistów niemieckich z t. zw. separatystami, t. j. ty-mi, którzy życzliwie odnosili się do francuzów i anglików, my-siąc nawet o stworzeniu oddzielnego państwa nadreńskiego, w sojuszu z Francją. W niektórych miastach, jak w Trewirze, wy-nikły formalne bitwy, strzelanina, pożary i zabójstwa, tak, że nawet Briand zmuszony został do wniesienia protestu przeciw tym gwałtom.

Awantury te poderwały poważnie autorytet francuskiego ministra, którego głośny projekt Pan Europy — przymierza wszystkich państw europejskich — narobił w ostatnich czasach wiele wrzawy. Niestety, i z tą Pan Europą jest niewyraźnie. Na memorjał Brianda rząd niemiecki odpowiedział, że nie ma zamiaru zajmować się Pan Europą, dopóki nie nastąpi rewizja traktatów pokojowych (czytaj: dopóki Niemcy nie dostaną Gdańska, Pomorza, a może i czegoś więcej); rząd włoski wyraził dużo ogólników bez znaczenia, oraz jeden bardzo znamieny: żądanie wprowadzenia do Pan Europy Rosji Sowieckiej; inne państwa nie wypowiedziały się dotychczas. Pod takimi jednak, jak obecnie, auspicjami i z udziałem Bolszewji, projekt Pan Europy nie wygląda zachęcająco.



SZTUKA, ŻYCIE I SPOŁECZEŃSTWO

Sztuki piękne plastyczne, we właściwym tych słów rozumieniu, są pięknem i harmonią formy i barwy i wyraz swój znaleźć mogą w każdym tworze, który jest dziełem rąk ludzkich i ludzkiego ducha.

To też rozkwitem sztuki nazwać możemy tylko taki okres, gdy sztuka rozwija się janajszerzej, jaknajwszechstronniej, gdy obejmuje jaknajwięcej dziedzin naszego życia, gdy każdy przedmiot, z życiem naszym związany, jest sztuki przejawem.

Patrząc z tego punktu widzenia na wiek ubiegły, możemy go uważać, z dużą dozą słuszności, za wiek upadku sztuki — upadku, który objął wszystkie kraje europejskie (sztukę ludową traktować należy oddzielnie), choć nie w jednym czasie i nie w jednakowym stopniu.

Nagły rozwój przemysłu fabrycznego z masową produkcją, wyścig taniości, rodzący tandetę, tak obniżyły wartość estetyczną wszelkiej produkcji, że odsunęły ją zupełnie od pojęcia sztuki.

W niepamięć poszła sztuka-rzemiosło; w ogólnym rozumieniu pojęcie sztuk plastycznych ograniczało się do obrazów i rzeźb, zamkniętych w głębi muzealnych sal, gdzie składało się uroczyste wizyty, lub umieszczonych w salonach, gdzie wśród brzydoty otoczenia figurowały, jako jedynie możliwe wyładowanie artystycznych aspiracji.

Czasy dzisiejsze nazwać można odrodzeniem, a raczej początkiem odrodzenia sztuk plastycznych.

Artyści stanęli do pracy na wszystkich placówkach, w swej pracy twórczej sięgają do wszelkich materiałów, wszelkich dziedzin, w bezpośrednim zetknięciu stają przy warsztacie i, idąc z duchem i koniecznością czasu, chcą cgarnać i przemysł fabryczny, by koncepcję artystyczną wprowadzić nawet do najtańszej masowej produkcji, gdzie tysiące trudności zwycięsko pokonać trzeba.

W tem odrodzeniu, w tej pracy nasza sztuka, nasi artyści biorą żywy udział, i, jak wykazały wystawy — Paryska w r. 1925 i Poznańska — na niejednym polu możemy się poszczycić wybitnymi rezultatami. Czy wobec tego powiedzieć można, że sztuka zajmuje u nas należne jej miejsce?

Niestety — nie!

O rozkwicie sztuki decydują nie tylko talenty i usiłowania pracy tych, którzy sztukę tworzą — ale także atmosfera, która daje tej sztuce możność rozwoju, ale także ci, którzy są tej sztuki uświadomionymi odbiorcami — środowisko, które sztukę rozumie, które sztuki pragnie i chce ją wpleść do swego życia codziennego.

Niestety, u nas poziom kultury estetycznej jest niesłychanie niski; nierzadko w mieszkaniach ludzi zamieszkałych i wykształconych znaleźć można poprostu kolekcje wszelakiej brzydoty; najpiękniejsze, najciekawsze usiłowania upadają przez brak poparcia, a największym popytem, pobudzającym podaż, cieszą się często rzeczy, pozbawione jakiejkolwiek wartości estetycznej.

By ziemi zaradzić, by sprawę tę na właściwym postawić gruncie, trzeba celowo i planowo rozpocząć walkę o estetyczne wykształcenie naszego społeczeństwa, przede wszystkim zaś położyć specjalny nacisk

w tym kierunku przy wychowaniu młodych pokoleń.

Ponieważ sztuka w dzisiejszym rozumieniu, obejmując i przemysł artystyczny, odegrać może i powinna ogromną rolę nie tylko w duchowym, lecz i w gospodarczym życiu narodu, ponieważ sztuka polska, zyskawszy zainteresowanie zagranicą, ma wszelkie dane, po odpowiednim rozwinięciu się wewnątrz kraju, zdobycia rynków międzynarodowych w należnym jej stopniu — pomyślnie rozwiązanie tego zagadnienia leżeć musi na sercu wszystkich jednostek uświadomionych, czynników rządzących, a przede wszystkim — samych artystów.

M. Werten

KWIATY CIĘTE I NASZE DOKOŁA NICH ZABIEGI

II.

Zanim przejdę do omówienia kwiatów ciętych, nabywanych w zakładach ogrodniczych, lub u sprzedawców ulicznych, muszę jeszcze poświęcić słów kilka ważnej kwestji, a mianowicie: ścinaniu kwiatów na bukiety w odpowiednim stadium rozwoju, czyli z doskonale wykształconym, rozchylającym się pakiem kwiatowym.

Pomiędzy kwiatami, zakwitającymi w naszych ogrodach, spotykamy i takie, które wyglądają nadwyróż efektownie na kwietnikach i rabatach, natomiast zupełnie nie nadają się na bukiety, gdyż przeniesione do pokoju i włożone do wody, stulają kielichy i ztracają tem samem całą swą krasę. Do kwiatów takich należą przeważnie gatunki, rozwijające się o zachodzie, lub o wschodzie słońca, a w pierwszym rzędzie: mirabilisy, powoje, maciejka i tytoń pachnący. Mirabilisy i powoje, włożone do wody, nie rozwijają się wcale; maciejka i tytoń rozchylają w wazonach kielichy kwiatne wieczorem i pachną bardzo silnie, natomiast w ciągu dnia trudno kwiaty te zaliczyć do dekoracyjnych.

Przechodząc do kwiatów kupowanych, muszę położyć przede wszystkim nacisk na umiejętność wyboru, pod którą rozumiem nabywanie kwiatów świeżych, w odpowiednim stadium rozwoju i względnie trwałych.

Świeżość kwiatu rozpoznać trudno. Pozory świeżości, jakie zachowuje kielich kwiatny, są niejednokrotnie bardzo zwodnicze. Chłodna i wilgotna atmosfera sklepów z kwiatami sprzyja dobrej konserwacji, jakże jednak często przynosimy do domu kwiat pozornie świeży, a żegnać się musimy z jego urokiem już w kilka godzin po włożeniu do wody!

O stopniu świeżości kwiatu lepiej już nas pouczy jędrna, wolna od śladów rozkładu, o naturalnej barwie lodyga, na którą należy zwrócić uwagę, wybierając kwiaty. Najcenniejszymi, bo najtrwalszymi są kwiaty, których jeszcze nie przechowywano w wodzie; o takie jednak w handlu bardzo trudno. Za długotrwałość kwiatu, jak już wyżej wspominałam, odpowiedzialne jest w wielkiej mierze stadium rozwoju. Każdy niemal kwiat cięty ma dar rozwijania pąków w wodzie, pod warunkiem, że będzie starannie i racjonalnie pielęgnowany. Dlatego też większość kwiatów nabywać należy nie w rozkwicie, a w dobrze wykształconych pąkach. Do tych należą w

pierwszym rzędzie: wszystkie odmiany lilij, irysów, peonij, tulipanów, maków polnych i ogrodowych, narcyzy, róże, goździki (krajowe, świeżo ścięte), storczyki leśne i cieplarniane.

Kwiaty, zebrane w kłosa i kiście, nie mają, po ścięciu, siły rozwinięcia pąków wierzchołkowych; dzieje się tak z ostróżkami, digitalisem, łubinami ogrodowymi, mieczykami, tuberozami i innymi — dlatego też kwiaty o typie wyżej wspomnianym wybieramy w pełnym rozkwicie, stosując te same zasady do kwiatów drobnych, wybitnie krótkotrwałych, jak: fiołki, bratki, groszki pachnące i t. p. — więdną one bowiem, zanim zdążą się rozwinąć.

Ścinając kwiaty w ogrodzie, możemy sobie pozwolić na wybór bezkrytyczny (z punktu widzenia trwałości). Żwiędną jedne, zastąpimy je świeżymi. Kupując kwiaty za pieniądze nieraz ciężko zapracowane i fraszobliwie oszczędzane, unikamy tych, których życie równa się krótkiej chwili. Do wybitnie niewdzięcznych, nawet za najstaranniejszą pielęgnację, należą z kwiatów krajowych: dalie, ze sprowadzanych: mimoza. Tak pierwsze, jak i druga, pełne wdzięku, świeżości i nieporównanej, chociaż tak odrębnej, krasy — buntują się zasadniczo przeciwko przeniesieniu ich z atmosfery kwaciarni do pokoi mieszkalnych i więdną prawie natychmiastowo.

Trudniej jeszcze o szczęśliwy wybór kwiatów, jeżeli kupujemy je u sprzedawców ulicznych. Wystawione na całodzienną spiekotę, zanurzone w rozgrzanej słońcem wodzie, tracą szybko odporność i z trudem bronią się przed ogarniającą je niemocą.

Aby, mieszkając w mieście, mieć prawdziwie świeże kwiaty, należy przedewszystkiem dobrać sobie źródło zakupu pewne, sumienne i stałe. Z klientelą



Podstawowym motywem bukietów zimowych są gałęzie wonnego igliwia.

stałą, nawet, gdy jednorazowo nabywa stosunkowo niewielkie ilości towaru, sprzedawcy się liczą i nie podsuwają jej towaru mało wartościowego.

Najracjonalniejszym systemem jest też docieranie do tak zwanego „pierwszego źródła zakupu”, to znaczy do ogrodów miejskich i podmiejskich, albo do punktów sprzedaży z pierwszej ręki, gdzie wczesnym rankiem ściągają hurtownicy. System tego rodzaju zapewnia nam nie tylko nabycie kwiatów świeżych, ale i po korzystnej cenie.

Z kwiatami kupnemi postępujemy przed i po ułożeniu ich w wazonach w ten sam sposób, jak z kwiatami, ściętymi w ogrodzie.

Kwiaty cięte, jakie dostajemy w wiązkach, należy uwolnić z ucisku łyka, lub drutu; jeżeli ktoś ofiarował je nam osobiście, umieszczamy je natychmiast w wazonie, odkładając wszelkie dookoła nich zabiegi aż do chwili, kiedy zostaniemy same.

Kwiaty, układane w koszach, utrzymujemy w stałej wilgoci, zwilżając odpowiednio mech, w którym je ułożono, lub zmieniając wodę w blaszankach, znajdujących się w koszykach.

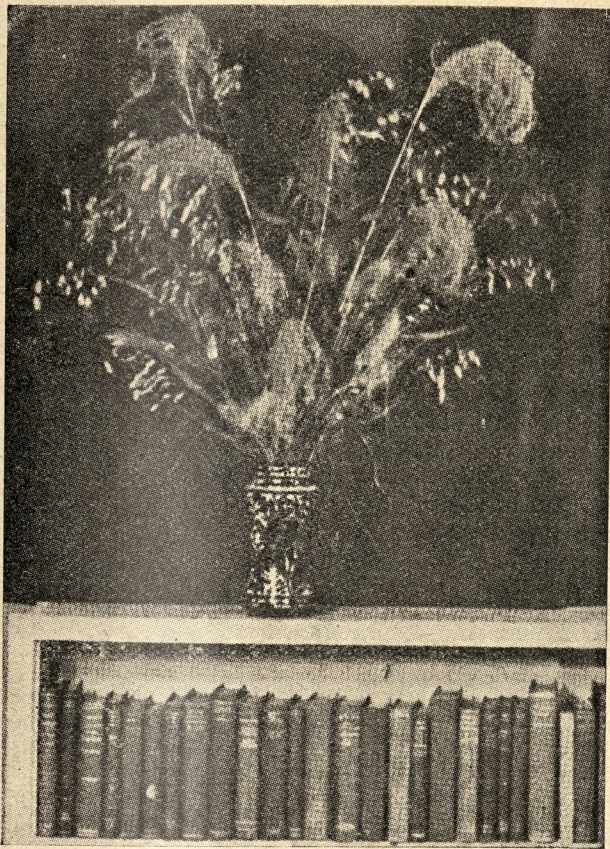
Kwiaty, zmęczone podróżą, lub dłuższem przebywaniem bez wody, najlepiej jest włożyć do obfitej zimnej wody, np. do wanny. Po kilku godzinach odzyskają dawną świeżość.

Mamy cały szereg jakoby „wypróbowanych” środków sztucznych, podtrzymujących świeżość i przedłużających życie kwiatów ściętych, są to: aspiryna, mydło, sól kuchenna, węgiel drzewny, dodawane do wody; zanurzenie więdnących kiści bzu w ukropie odświeża go też na krótką chwilę. Wszystkie te sposoby nie zastąpią jednak nigdy utrzymania łożdyg kwiatnych we wzorowej czystości, przycinania ich, zmieniania kilka razy dziennie wody i umiejętnego układania kwiatów w wazonach. Te naturalne środki zaradcze, polegające na uciążliwym może staraniu, są jednak najpewniejsze i niezawodne.

W ostatnich latach zaczyna się szerzyć zwyczaj



Jesienią przystrajamy wazony pięknie zarysowanymi gałęziami.



Puszyste kiście traw wyglądają dekoracyjnie na tle barwnej makaty.

farbowania kwiatów. Dawniej systemy te stosowano jedynie do wielkokwiatowych białych róż, którym nadawano barwy: żółtą, czerwoną, zieloną i niebieską, przez zanurzenie łodyg w płynnej farbie. Dzisiaj spotykamy już na ulicach całe pęki kwiatów polnych i łąkowych o niesamowitej barwie, nadanej im przez farby anilinowe. Popieranie tego bezcelowego i niefortunnego „poprawiania natury” przez kupowanie kwiatów farbowanych jest dowodem braku gustu i odczucia piękna; trudno bowiem uwierzyć, aby więź śnieżno-białych rumianków polnych, wykąpanych w burakowej anilinie, mogła przemówić wzrokowo do kogoś, kto odczuwa, rozumie i ceni urok kwiatów, tych najdoskonalszych cudów przyrody. Barwienie, stosowane umiejętnie i artystycznie do preparowanych liści paproci, z których układamy bukiety trwałe, zimowe, jest może jedynym estetycznym poczynaniem w tym nieszczęśliwie przyjmującym się u nas zwyczaju.

Okres późnej jesieni, kiedy liście drzew i krzewów zmieniają tak cudownie koloryt, jest okresem, dostarczającym nam pięknego materiału dekoracyjnego. Gałęzie, pokryte liśćmi o stonowanej barwie ziele- ni, złota, brązu i purpury, lub ogołocone z liści, a po-

kryte owocami gałązki berberysu, głogu — dzikie, a tak pięknie owocujące jesienią, rośliny, ułożone w glinianych wypalanych dzbanach, czy w wazonach majolikowych, terakotowych, z pięknie barwionej glinki — zarysowują się wprost uroczym, zarówno na tle skromnych, gładko malowanych ścian, jak i kosztownych obić i makat. Gdy jednak zbraknie nam i tego ostatniego, żywego materiału, sięgamy po tak zwane bukiety „zimowe”, które robimy z nabytych, lub własnoręcznie gromadzonych latem i jesienią traw, suszonych ostów i t. p.

Bukiety takie, umiejętnie ułożone i zharmonizowane, mają swoisty, nieco martwy urok; jednakże stają się wkrótce zbiorowiskiem kurzu, od którego trudno je uchronić i rzadko spełniają swe estetyczne posłannictwo przez czas dłuższy. Mają przytem dar zanieczyszczania mieszkania, osypując puchy traw suszonych i zeschnięte liście. To też bukiety tego rodzaju służą wiernie swemu powołaniu tylko tam, gdzie spotkają się z umiejętnym zastosowaniem i staraniem. Zakurzony wazon, w którym tkwi jakaś — darujcie mi, Panie, zbyt realistyczne wyrażenie! — zasuszona miotła, którą kiedyś była „bukietem zimowym”, powinien zniknąć z naszego nowoczesnego wnętrza, gdyż musi ono stać się wyrazem prostoty i piękna.

Natomiast bezcennym materiałem zimowym są gałęzie wonnego igliwia: sosna amerykańska, świerczyna, gałązki aromatycznej tui; w okresie Bożego Narodzenia jemiola, strojna w srebrzyste lzy — małeńkie, połyskliwe kuleczki, przytulone do delikatnie zarysowanych gałązek; wreszcie tak pięknie rozrastające się, przy umiejętnej pielęgnacji, krzewy paproci, które wyglądają efektownie i wegetują bujnie w koszach, wysłanych mchem i wypełnionych ziemią, odpowiednio dobraną do odmian tej wspaniałej rośliny.

Wanda Dobrzańska.



Krzewy paproci bujnie rosną w koszach wysłanych mchem.

Żadajmy pism kobiecych we wszystkich kawiarniach, cukierniach, domach zdrojowych i kuracyjnych, w salonach fryzjerskich, kosmetycznych, poczekalniach lekarskich.

Wszystkie te zakłady i instytucje egzystują w dużej mierze dzięki kobietom i obowiązane są, we własnym dobrze zrozumianym interesie, stosować się do wymagań i potrzeb swej klienteli.

Omijajmy i bojkotujmy zakłady, które pism kobiecych nie prenumerują; dawajmy pierwszeństwo tym, które uwzględniają nasze słuszne żądania i popierają prasę kobiecą.

DLACZEGO I W JAKI SPOSÓB WYSTRZEGAĆ SIĘ ROBACTWA

Każda z gospodyń wie doskonale, ile trudu wymaga utrzymanie mieszkania w czystości; że w lepszych, czy gorszych warunkach materialnych nie możemy nigdy zapominać o walce, jaką toczyć musimy z wszelkiem robactwem domowym.

Rozwojowi ich sprzyja szczególnie pora letnia, a zwłaszcza tegoroczne niebywałe upały. To też poświęćmy parę słów tej kwestji, tak bardzo aktualnej dla każdej gospodyni.

Wszelkiemu robactwu, jak: pajaki, muchy, pchły, pluskwy, stonogi, prusaki i karaluchy — wypowiedziało się oddawna wojnę. Jest to zadanie niemiernie ciężkie. Konieczność ta ma jednak na celu, nietylko względy estetyczne, jak większość ludzi sądzi. Tępi się u nas zwykle robactwo nie ze względów higieny, lecz ze względów społecznych: wstyd nam, gdy ktoś obcy zauważy pajęczynę na ścianie, lub gdy gość nie może spać w nocy, bo budzą go... pluskwy.

Znacznie poważniejszą przyczyną, dla której musimy tępić pasożyty, jest roznoszenie przez nie bakterij chorobotwórczych.

Najniebezpieczniejsze są bezwarunkowo muchy. Przedewszystkiem dlatego, że latają, mogą więc bardzo szybko przenosić się z miejsca na miejsce. W tem już są groźniejsze od bezskrzydłych pluskiew i innych stworzeń.

Mucha, która przed chwilą siedziała na straganie z mięsem (w śródmieściu), lub na plwocinach ludzkich (które mogą przecież pochodzić od gruźlika — a każdy u nas pluje na ziemię), nabrała na nóżki i ryjek bakterij i z niemi, wpadłszy do mieszkania, siada na naszym pożywieniu. Łazi po pieczywie, wchodzi do słoja z konfiturami, wreszcie topi się w mleku. A my wyrzucimy muchę ze szklanki, lub spłoszymy ją z pożywienia; a napewno znajdzie się i taki „nieobrzydliwy“, który bez wahania zje lub wypije to, na czem przed chwilą siedziała mucha.

Nikt nie zastanowi się nad tem, że muchy, siadając na pożywieniu, pozostawiają bakterje, które przeniosły, które nietylko zostaną przy życiu, ale rozmnożą się z nadzwyczajną szybkością.

Badania wykazały, że bakterja w ciągu 3-ch godzin rozmnaża się 64-krotnie, a na nóżkach muchy przywędrują całe gromady bakterij. Poza tem muchy siadają na śmieciach, dołach kloacznych, w których znajdują się niejednokrotnie wydzieliny chorych na tyfus brzuszny, czerwonkę, lub inną chorobę zakaźną. Zarazki te przenoszą się w powyżej opisany sposób na nasze pożywienie.

Niebezpieczeństwo jest tem groźniejsze, że większość ośrodków mieszkalnych naszego kraju nie posiada dotąd urządzeń sanitarnych, nie ma kanalizacji. Wszystkie gnijące odpadki i wydzieliny płyną ulicami miast, w otwartych rynsztokach, które są najlepszą wylęgarnią much i innych pasożytów, a tem samem pośrednią przyczyną wszystkich chorób.

Muchy są dla nas tak groźne jeszcze dlatego, że rozmnażają się wprost w zastraszający sposób: na podstawie specjalnych badań ustalono, że z jednej muchy powstają w ciągu lata 2 miliony much. Dlatego też takimi gromadami tłoczą się do naszych mieszkań.

Najracjonalniejsza byłaby praca od podstaw, ale

tej odrazu dokonać nie można. Możemy jednak, każdy w swoim zakresie domowym, tępić pasożyty w mieszkaniu, tak dla dobra własnego, jak i naszych najbliższych. A więc przedewszystkiem uniemożliwić muchom dostęp do naszych mieszkań. Można to uskutecznić zapomocą siatek drucianych, lub przynajmniej nicianych, przybitych do drewnianej ramki. Jest to sposób najpewniejszy, a przy zastosowaniu siatek bawełnianych zupełnie niekosztowny.

Kto z jakichkolwiek przyczyn nie może sobie tego w domu zainstalować, powinien usilnie tępić muchy w mieszkaniu. A więc używać lepu na muchy, trutki lub „Flitu“, który coraz bardziej u nas się rozpowszechnia. Należy jednak pilnować tego, by muchy po rozpyleniu płynu zmieść z podłogi i sprzętów i spalić lub potopić. Flit bowiem, w którego skład wchodzi olejki chryzantemowe, działa na owady tylko chwilowo odurzająco, ale ich nie zabija, tak, że muchy po pewnym czasie odżywają.

Ważne jest również zamykanie wszelkich artykułów żywnościowych, aby muchy nie miały do nich dostępu i nie mogły na nich zostawiać zarazków chorobotwórczych.

Wreszcie każdy z mieszkańców miasta powinien dbać o przestrzeganie higieny, a więc o utrzymywanie śmietników w należytem stanie, niewyrzucanie odpadków organicznych na miejsca otwarte. W razie jakichś trudności należałoby zwracać się do odpowiednich instytucyj sanitarnych.

Omówiliśmy najgroźniejszą plagę naszych letnich miesięcy: muchy. Plag tych jest jednak więcej; przedewszystkiem hodujemy w domach naszych pajaki. Naogół nieźle im się w naszych mieszkaniach dzieje. Jakkolwiek nie są one tak groźne, jak muchy, niemniej należy je tępić, jeżeli chcemy mieszkać w warunkach higienicznych, t. j. w mieszkaniu, wolnem od pasożytów.

Pchły i pluskwy też nie są w tym stopniu niebezpieczne, co muchy, jednak powinny być również tępione. Ukąszenia pluskiew wywołują podrażnienia naskórka, zaczerwienienie, swędzenie, a tem samem powodują sen niespokojny, który w następstwie odbija się na psychice danej osoby. Pchły i pluskwy są roznośicielami tyfusu powrotnego.

Najskuteczniejszy sposób zwalczania ich — to utrzymywanie mieszkania w idealnej czystości, częste wietrzenie pościeli, oraz dokładna kontrola łóżek, materacy, oraz ścian i dywaników nad łózkami.

Wesz jest w czasach pokojowych zjawiskiem nie tak częstem, jak bywało podczas wojny. Jednak z tramwaju, pociągu, schroniska turystycznego i innych podobnych lokali można je przywleć. Z tego względu po przebytej podróży, po powrocie z wycieczki, lub przejściu z miasta, należy przejrzeć ubranie i bieliznę. Najdokładniejszą kontrolę należy przeprowadzić w garderobie młodzieży, powracającej z letnich obozów, ćwiczeń wojskowych i t. p. Wesz jest o tyle groźnym pasożytem, że, poza bardzo przykrą dolegliwością swędzenia po ukąszeniu, jest głównym i jedynym roznośicielem tyfusu plamistego.

Gdy już mowa o wszystkich plagach, na jakie jesteśmy w domu narażeni, dodamy jeszcze karaluchy, prusaki i stonogi. Wszystkie te owady mnożą się przedewszystkiem tam, gdzie niema należytej czystości, gdzie w kuchni na noc pozostawia się niedojedzone resztki, niewyżęte, zatęchłe, brudne ścierki, wilgotne, brudne szczotki i t. p. Wszystko to przed-

stawia znakomity żer i podłoże dla rozwoju wymienionych owadów. Zapobiegać możemy mnożeniu się ich, usuwając to wszystko, co wymieniliśmy, jako warunki, sprzyjające ich rozwojowi. Ponadto prusaki tępi znakomicie sproszkowany boraks, zmieszany z cukrem-pudrem, który sypiemy wszędzie tam, gdzie się prusaki pokazują.

Oprócz wyliczonych pasożytów domowych, jest wiele owadów, które mogą gryźć, kłuć i w ten sposób nam szkodzić. Są to osy, pszczoły, bąki, szerszenie i inne.

Znajdując się więc w pasiece lub w pobliżu roju pszczół, należy zachować się jak najspokojniej, by nie drażnić pszczół. W razie ukłucia, żądło wyjąć, a miejsce ukąszenia zwilżyć amonjakiem, lub natrzeć zwyczajnym mydłem.

Wszędzie, a szczególnie w okolicach wilgotnych, pojawia się latem mnóstwo komarów. Są one o tyle przykre, że trudno się ich ustrzec, jeśli w oknach nie ma siatek. Wlatują do pokoju wieczorem, nawet, kiedy światła nie są zapalone.

Ukąszenia komarów są o tyle niebezpieczne, że przenoszą one zarazki malarji (febry). Miejsce ukąszonego nie należy drapać, lecz zwilżyć amonjakiem, co neutralizuje działanie jadu komara.

Walki z owadami i ochrony przed ukąszeniami ich nie należy lekceważyć, gdyż nie zdajemy sobie nawet sprawy z tego, że przenoszą one 90 proc. chorób i epidemij, występujących w okresie letnim.

Dr. Marja Kłosińska.

O KONSERWACH Z JARZYN

Otrzymałam od Czytelniczek kilka listów z narzekaniem na nieudane konserwy z jarzyn. Wszystkie brzmią prawie jednakowo: kompoty w Weck'ach doskonale się udają, konserwy jarzynowe natomiast pleśnieją prędko, a nawet te, co się pozornie udały, mają w użyciu jakiś kwasek; szparagi mają zapach amonjaku, kalafjory są miękkie i czerwone.

Ogromnie trudno, nie widząc tych nieudanych przetworów, coś na to poradzić. Sądzę jednak, że w wielu wypadkach niedokładność w robocie jest przyczyną nieudania konserw, w innych zaś niedostateczna sterylizacja. Dla jarzyn, a szczególnie dla grzybów, jednorazowe gotowanie nie wystarcza. Po dwudziestu czterech godzinach (w ostatecznym razie — po dwóch dobach) należy sterylizację powtórzyć, przyczem jednak czas gotowania jest znacznie krótszy — pięć do dziesięciu minut od chwili zagotowania wody, ewentualnie od chwili osiągnięcia temperatury, wskazanej dla danego produktu na termometrze aparatu Weck'a. Dopiero ta druga sterylizacja zabija drobnoustroje, które w ciągu pierwszej doby w słoju się rozwijają i powodują zupełne zepsucie konserwy, bądź też nadają jej ów lekki, lecz zawsze niepożądany, kwaśny posmak.

Co się tyczy szparagów, to tylko w nielicznych wypadkach opłaca się sterylizować je na domowy użytek. Przedewszystkiem wtedy, jeżeli jesteśmy pewni, że szparagi były hodowane na zwykłym, bydlęcym nawozie; szparagi z gruntów podmiejskich, nawożonych produktami kanalizacji, do konserwowania absolutnie się nie nadają. Pozornie ładne i jędrne, nabiera-

ją w słoju owego okropnego amonjakalnego zapachu i stają się nie do użycia.

Jeżeli mamy szparagi z własnego ogrodu, lub wiadomego, gwarantującego ich dobroć, pochodzenia, możemy je używać do sterylizacji tylko w ciągu pierwszych dwunastu godzin po wycięciu. Leżąc dłużej, łodyga ich twardnieje, drewnieje i po zakonserwowaniu w słoju taką zdrewniałą pozostaje. Tę właściwość drewnienia znają doskonale gospodynie miejskie, które, kupując towar ładnie wyglądający, lecz przywieziony z daleka, widzą połowę szparagów pozostawioną na talerzach biesiadników, jako rzecz niejadalną.

Jeżeli chodzi o kalafjory, jest to jarzyna, najtrudniej dająca się zakonserwować. Najlepszym dowodem tego jest, że prawie wcale nie spotykamy jej w cennikach konserwowanych jarzyn fabrycznych. Kalafjory z gruntów podmiejskich mają tę samą wadę, co szparagi: zawierają masę amonjaku, który przy gotowaniu na świeżo ulatnia się (znamy wszyscy okropny zapach gotowanych kalafjorów, zapowietrzający w ich sezonie nie tylko kuchnie i mieszkania, lecz nawet dziedzińce miast i miasteczek). W zamkniętym konserwatorze zapach ten się potęguje i jarzyna staje się niejadalną.

Drugą kardynalną wadą konserwowanego kalafjora jest jego czerwienienie. Nawet robione *lege-artis* na kursach przetworów w Politechnice warszawskiej, pod kierownictwem profesora Wacława Iwanowskiego, były czerwone i bardzo miękkie — co stanowi trzecią wadę konserw kalafjorowych. Widziałam wprawdzie cudne, śnieżno białe róże konserwowanych kalafjorów na wystawie wyrobów szkoły Towarzystwa Pszczelniczko-ogrodniczego i upewniano mnie tam, że taki wygląd osiąga się zapomocą moczenia kalafjorów w mocno octem zakwaszonej wodzie, lecz i tutaj miałam poważne obiekcje. Taki sobie jeden pan kalafjor pływał w konserwatorze, w którym dałoby się przechować przeszło kilo fasolki, groszku lub spodów karczochów. Wiemy, jak kalafjor łatwo się zjada. Taka róża starczyłaby za ledwie dla jednej osoby o niedużym apetycie, a zawartość konserwatora z inną jarzyną zaspokoiłaby apetyt czterech do sześciu osób. Czy, wobec drożyzny konserwatorów, czasu, materiałów opałowych i braku miejsca w mieszkaniach miejskich, nie lepiej korzystać jaknajczęściej ze świeżych kalafjorów, dopóki są, a wrazie koniecznej potrzeby kupić w magazynie gastronomicznym chociażby drogi kalafjor, przywieziony z Południa? Bawić się w sterylizowanie kalafjorów mogą panie na wsi, mające duże piwnice, własne kalafjory i nie mogące nabyć sobie kalafjora na poczekaniu.

Ponieważ wbrew memu zwykłemu systemowi, zamiast namawiać panie do robienia zapasów zimowych, dzisiaj zajęłam się wstrzymywaniem ich od tego, ze wszech miar pożytecznego zajęcia, — powiem jeszcze słów kilka o groszku zielonym. Chociaż jest to konserwa najłatwiejsza do wykonania, w dodatku doskonale dająca się przechować, przyrządzanie jej pozostawmy paniom na wsi lub osobom, posiadającym własne ogródki. Po dokładnym obrachunku zawsze się okaże, że cena groszku kupnego, przerobionego w domu, będzie wyższa od ceny takiejże ilości groszku, kupionego w puszcze. W dodatku, operując niedużymi ilościami, nie możemy tak dokładnie posegregować ziarenek groszku, co do rozmiaru i wieku, i nasza konserwa wypadnie niedosyć jednolicie. Kto jednak groszek konserwuje, nie potrzebuje do tego używać drogich słoik-konserwatorów: zwykłe butelki, byle mocne, wystar-

czą. Najlepszym zamknięciem ich jest pęcherz, dobrze oczyszczony i wymoczony. Po ostygnięciu konserwy pęcherz powinien jakby wciągnąć się w szyjkę butelki i uformować dołek — co stanowi dowód, że sterylizacja się udała.

Łoż samo się stosuje do szczawiu i szpinaku. Te dwie jarzyny tylko w butelkach sterylizować należy, przyczem, przed powtórным zagotowaniem, należy dokładnie przetrząść zawartość butelki. Szpinak szczególnie jest złym przewodnikiem ciepła, środek konserwy pozostaje często niewyjałowiony i powoduje psucie się całego słoja lub butelki. Co do szczawiu, to daje on się tak łatwo zakonserwować przez zwykłe posolenie, że praca, związana ze sterylizowaniem go, jest zupełnie zbędna.

Więc ostatecznie — cóż warto sterylizować?

Przedewszystkiem, wszystkie gatunki zielonej i szparagowej fasoli. Niedojrzałe zielone ziarna fasoli „flageolet“, bób (bober), którego zielone, niedojrzałe ziarna są wyborną jarzyną, u nas mało znaną: młoda, delikatna karotkę, zalecaną przy odżywianiu dzieci i osób o słabym trawieniu: denka karczochów — jarzyny wykwiśniętej, a u nas krótkotrwałej; zeberka białonych liści kardów, — jednym słowem, jarzyny wykwiśnięte i tak kosztowne, aby się nam opłacił czas, opał, słoje i cała praca przy ich zakonserwowaniu. Oprócz tego możemy konserwować wszelkie dobre grzyby, bądź w osolonej wodzie, bądź też już uduszone w masle.

I zawsze wszystko to sterylizować dwa razy.

Pani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

ZUPA Z ZIELONEGO GROSZKU.

Groszek, przeznaczony na zupę, po wyluskaniu przebrać, bujne, lecz młode ziarnka pozostawiając w całości, grubsze, starsze, używając na rozgotowanie. Na zupę używamy rosółu smaku z kości (najsmaczniejsza jest ta zupa na dróbkach z kury lub kurcząt), bądź też smaku z włoszczyzny. Na trzy szklanki wyluskanego groszku bierzemy półtora litra smaku, a raczej, gotując ten smak, od razu sypiemy weń groszek, jedną szklankę pozostawiając na późniejszy użytek. Gdy włoszczyzna i groszek zmiękną, marchewkę wyjmujemy, a pietruszkę, por, seler i cebulę przecieramy wraz z groszkiem przez sito lub durszlak. Pozostawiony groszek zagotowujemy oddzielnie w smaku, wrzucając go na osolony, wrzący płyn, gotując prędko i w odkrytym rondelku, aby zachował ładny, zielony kolor. Oba płyny łączymy, zaprawiamy (o ile rosół jest bezniejszy) łyżką świeżego masła i (w każdym razie) łyżką maki. Zagotowujemy raz tylko i przelewamy do wazy, gdzie są przygotowane dwa żółtka, rozbite z pół szklanką słodkiej śmietanki, lub dobrego mleka. Nie

należy łać od razu całej wrzącej zupy, aby się żółtka nie zwały; wpięć zmieszać z kilku jej łyżkami płyn jajeczny, poczem dolać całość. Można też do wazy wsypać trochę usiekane go koperku lub pietruszeczki. O ile nie podajemy do tej zupy żadnych pasztecików, należy przyrządzić grzanećki z bułki, zrumienione z masłem, które przy jedzeniu wkładamy wprost do talerza z zupą.

MARMELADA MALINOWA.

Na kilo malin (najlepiej leśnych, gdyż są najaromatyczniejsze) wziąć sok, wyciśnięty na surowo z kilo czerwonych lub białych porzeczek. Na tę ilość owocu dać około jednego kilo cukru. Owoce i sok gotujemy narazie w mosiężnej miednicze, lub grubym, emaljowanym rondlu. Gdy się owoce dobrze rozgotują, dodajemy cukru i smażymy dalej, wciąż mieszając od dna. Gdy masa zacznie gęstnieć, próbujemy po kropki, puszczać ją na zimny spodek. Jeśli się zaczyna galaretować, przekładamy gorącą do wysterylizowanych w piecu, gorących garnków kamiennych. Gdy doskonale zastygnie (najlepiej dopiero nazajutrz), przykrywamy krążkami pergaminu, maczanymi w spirytusie salicylowym i zawiązujemy słoje pergaminem.

KONSERWA Z CZARNYCH JAGÓD NA SUROWO.

Czarne jagody (borówki, czernice) świeżo zebrane, gdyż zleżałe mają gorycz, nie dającą się niczem usunąć, przepuścić przez maszynkę. Na osiem kilo jagód wziąć jedno deka (wyrażnie: jedno deka) kwasu salicylowego, który w takiej ilości jest absolutnie nieszkodliwy, doskonale wymieszać z owocową masą i napełniać nią czyste, wysterylizowane butelki. Zakorkować mocnymi korkami, korki zalać parafiną i przechowywać w suchej spiżarni. W zimie można używać, jak świeże, na zupy, sosy, kisielki, a nawet masę tę, dobrze ocukrzoną, podawać zamiast kompotu do pieczonego.

Pani Elżbieta.

WYTWORNE PANIE!!!

UŻYWAJĄ DLA DYSKRETNYCH PŁÓKAŃ

DAMOSAN



ESENCJĘ
KOSMETYCZNO-
ANTYSEPTYCZNA

ORYG. WYRÓB FIRMY HENRYK ŻAK, POZNAŃ.

295

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr. Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz”. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

W tej sprawie trzeba zabrać głos.

Mam zamiar zaproponować Paniom jeszcze jeden temat do polemiki, b. aktualny, i ważny, mianowicie: o stosunkach, panujących w średnich zakładach naukowych, między rodzicami, ciałem nauczycielskim i dziećmi.

Według moich obserwacji, nad 3-ma gimnazjami w 3-ch rozmaitych krańcach Rzeczypospolitej, stosunki wymagają gruntownej rewizji, im prędzej, tem lepiej.

Chcę pomówić z Paniami o maturach wogóle i o maturze, która odbyła się w mieście w dalekiej dziurze wschodniej, kresowej. Maturę składało 25 uczniów, ścięto 9, t. j. 40 proc.

Rzecz się odbywała w obecności wizytatora, który po sumiennem wykonaniu swego obowiązku odjechał do Wilna, syt „krwi i chwały”.

W nowelce Marji Kuncewiczowej „Do wstępnej” w „Bluszczu”, jest przesłiczna, symboliczna postać nauczycielki, prowadzącej dzieci. Nowelka kończy się: „Tak odeszły od matek”.

A czy ta symboliczna pani nauczycielka odda z powrotem wszystkie te dzieci całe, zdrowe?! Oto pytanie. Czy żadne z nich nie palnie sobie w łeb w trakcie nauki? czy żadne nie zwarzuje? Bo przecież co roku czytamy i słyszymy o podobnych wypadkach.

Czasem człowiek ma wrażenie, że miasto, gdzie żaden uczeń, czy uczennica nie skończyła samobójstwem, jest wyjątkiem.

Spotyka się samobójców nawet 13 letnich. W r. 1929, zdaje się, w Lidzie (miasta dokładnie nie pamiętam), 13 letni chłopczyk, nie przeszedłszy do następnej klasy, rzucił się pod pociąg, i skończył życie w strasznych męczarniach. Obserwuję ten koszmarny ruch samobójstw od kilku lat, w roku ubiegłym naliczyłam aż 10!

A ile tragedij nie dociera do prasy?

Rok 1930 nie jest wyjątkiem, niestety.

Gazety poświęcają tym wypadkom malutkie kawałeczki, drukowane petitem: widocznie uważają to zjawisko za rzecz drugorzędną, na którą nie warto zwracać uwagi.

Potrzeba dopiero wielkiego skandalu, jak zabójstwo podczas matury w Wilnie (rok 26-ty czy 27-my), lub spoliczkowanie nauczyciela przez maturzystów, z dokumentami w kieszeni (rok 28-my czy 29-ty) w Warszawie, aby prasa zajęła się sprawami naszej młodzieży. Wtedy zwykle pisma, tonem wielkich arbitrów, pouczają nauczycieli, jak mają się zachowywać wobec dzieci, jak ukarać zuchwalców. Z najwyższym też zdziwieniem przeczytałam, dopiero w r. bieżącym, że M. W. R. i O. P. poleciło szkole składać szczegółowe sprawozdania o każdym samobójstwie. Dopiero teraz?

Nie mogę zrozumieć, dlaczego obecnie ciało nauczycielskie zapomina, że ma do czynienia z pokoleniem powojennem, które przeżyło głód, nędzę, wygnanie do Rosji i powrót z Bolszewji, stanie w rozmaitych kolejkach; że nie jeden ze sztubaków urodził się w Bolszewji, więc jest dzieckiem wygłodzonej matki, że był świadkiem, albo nawet aktorem tragedji, jaka się rozgrywała w latach wojny na Kresach?

Dlaczego nie chcą wziąć pod uwagę, że cały sze-

reg dzieci nie ma podręczników, bo rodziców nie stać na kupno wszystkich wymaganych książek szkolnych?

A nawet zdarza się, że wogóle niema podręcznika, że dzieci uczą się według notatek, sporządzonych w trakcie lekcji. Można sobie wyobrazić, jak te notatki wyglądają!

Rzezie maturalne mają podobno na celu zapewnienie wyższym zakładom kadr absolwentów, dobrze przygotowanych do wyższego wykształcenia, gdyż faktem jest, że poziom wykształcenia przyszłych studentów uniwersytetów i politechnik jest niedostateczny.

Mam wrażenie, że droga jest błędna. Ścinanie na maturach nie pozytywnego nie da, oprócz zwiecznicia życia kilku młodzieńcom, czy dziewczynkom. Należy stworzyć kadry dobrych pedagogów (których tymczasem brak), ustalić jednolity program dla zakładów średnich, zapewnić dzieciom podręczniki tanie i dobre, które corocznie nie podlegałyby zamianom na inne.

Lecz wracam do swojej matury, powtarzam, ścięto 40 proc.!

Pan wizytator zapomniał, albo nie chciał pamiętać, że gimnazjum to znajdowało się w warunkach wyjątkowych: w roku szkolnym 1928/29 w ciągu kilku miesięcy nie było: dyrektora, wykładowców łaciny, polskiego, francuskiego, wychowania fizycznego; że z powodu remontu szkoły wykłady odbywały się po południu, tak, że zrozpaczeni nienormalnym stanem szkoły rodzice zwrócili się aż do p. Marszałka Piłsudskiego, z prośbą o zarządzenie stanowi rzeczy. Naturalnie, że to pomogło, przysłano nauczycieli, ale ile czasu upłynęło. A przecież obecni maturzyści byli wtedy w 7, albo 8 klasie, kiedy konieczna już jest systematyczna, nieprzerwana praca dla wyższego zakładu. Więc któż winien, że słabo byli przygotowani do matury?

Nie obeszło się też bez dramatu. Pod wpływem zdenerwowania i złego odżywiania, jeden chłopak zaczął zdradzać objawy rozstroju umysłowego, lecz maturę pisemną złożył. Ksiądz katecheta wywiózł wtedy chłopca do szpitala do Wilna, skąd powrócił zdrowszy. I cóż się stało? Narazie dopuszczono go do ustnej matury, a później od niej cofnięto! Co za dziwna i karygodna chwiejność w postępowaniu. Podobno jednego chłopca na maturze ustnej ścięto z powodu złej wymowy w języku polskim.

Kto mieszkał na Kresach, albo kto czytał „Domek słoneczny” Szpyrkówny, zrozumie, że jest to wi-na otoczenia, mówiącego specyficzną gwarą; przesunięcie matury na rok czy pół roku nie jest na to lekarstwem, tem bardziej, że w szkołach średnich na Kresach spotyka się wykładowców, którzy sami nie mówią poprawnie po polsku. Nie chcę nikogo uczyć, nikogo piętnować, ale czuję, że młodzieży dzieje się krzywda. A pamiętajmy, jakie młodzież ma chlubne karty w naszej historii. Ona to w 1905 roku podniosła bohatersko sztandar walki o szkołę polską, w 1914 roku stworzyła pierwszą brygadę, w 18 i 19 r. obroniła Lwów, a w 20 pokotem legła pod Radzyminem, broniąc Warszawy. I to samo powtórzyłoby się znów z pewnością, więc jak można marnować chlubę i przyszłość narodu? Może Panie zechcą zabrać głos w tej najważniejszej sprawie.

B. J.

Nowa szkoła gospodarstwa wiejskiego i domowego.

W prześlicznej okolicy podkarpackiej powstała nowa szkoła, która jest najwłaściwsza w naszych stosunkach. Sprawa dokształcania ludu wiejskiego jest dla Polski sprawą bardzo ważną. Kursy w szkole dokształcającej przyczyniają się do podniesienia wiedzy, poziomu kulturalnego i praktyczności wśród ludności wiejskiej.

Ks. Józef Czarnecki, idealista, sam pochodzący ze wsi, podjął się założenia takiej szkoły, ofiarując swój osobisty majątek, wiedzę, szczere i dobre chęci.

20 morgów gruntu wzorowo uprawnego, ogrody warzywne, sady, hodowla bydła i drobiu, szkoła kocharska, wzorowa pralnia i t. d. to działy tej szkoły. Budynki solidne i już rozpoczęto budowę Bursy dla dziewcząt. Two Rolnicze Małop. objęło kierunek rolniczy, a Siostry Zmartwychwstanki opiekę nad szkołą; ksiądz Czarnecki zaś całą troskę, jakiej przysparza taka placówka.

Poza praktyczną stroną wychowania, uczą się elewki języka polskiego, historii, rachunkowości, krajoznawstwa, higieny, nauki o dziecku i t. d.; pozatem przetworów gospodarczych, porządków i szycia.

Ten plan naukowy mówi dostatecznie za siebie. Apelujemy do ludzi dobrej woli, aby przyczynili się do wydatków, koniecznych na ukończenie tej pożytecznej placówki. Ofiary składać można na ręce ks. J. Czarneckiego w Stryszawie, poczta Lachowice.

A. M. — Kraków.

W sprawie żałoby (w odpowiedzi stałej Czytelniczce).

Spotkałam się w „Naszej Mównicy” z zapatrywaniami w kwestji noszenia żałoby, których oddawna jestem wyznawczynią i, niestety, już kilka razy w praktyce. Dla mnie osobiście, bowiem, od najmłodszych lat noszenie uroczystej żałoby z powłóczytami kwefami, było czemś wprost straszem. Ani razu nie miałam na sobie nic, prócz czarnej sukienki. I nie spotkałam się za to ze zgorszeniem, przynajmniej w oczy.

Czyż nie dość żałoby w duszy, by jeszcze przy każdym ubieraniu się w kiry i spojrzeniu na nie wyrywał się z serca jęk? Gdy i tak łada drobnostka po drodze zmarłej osobie brak jej nam uprzytomnia, sprawiając fizyczny wprost ból serca.

Nie mówię tu, naturalnie, o tych, o których p. stała Czytelniczka wspomina, którzy nie czują żalu po stracie, nie można tu powiedzieć swych drogich, ale poprostu kogoś z członków rodziny.

Dla nich znów noszenie tak uroczystej żałoby może być nieprzyjemne, a nawet irytujące z zupełnie innych powodów: mianowicie, że muszą ją nosić, gdy jej naprawdę nie czują. Dobrze, gdy można sobie jeszcze na nią pozwolić, ale gdy rodzina liczna, zwłaszcza kobiety (mężczyzn mało kosztuje żałoba), a co gorsza, gdy środki materialne bardzo szczupłe, to rzeczywiście katastrofa. I do tego braku żalu po zmarłym może jeszcze dołączyć się złość na... nie wiem, na kogo, bo zmarły chyba temu nie winien, że umarł, ale na zwyczaj, obowiązujący nosić tę żałobę. A ta niechęć chyba i zmarłemu nie pomoże, bo w takim usposobieniu i pacierz za niego niechętnie się mówi. Bo przecież można kogoś nie żałować nawet, a mimo to o jego duszy pamiętać.

Bardzo mi się podoba zwyczaj noszenia żałoby w tej okolicy na wsi, gdzie jestem: noszone są wszystkie kolory ubrania, prócz wszelkich odcieni czerwonego i żółtego. Chyba taka żałoba nie jest kosztowna, bo nie trzeba na nią specjalnych wydatków. A do tych wszystkich dozwolonych kolorów może być dodana jakaś opaska żałobna, jak u mężczyzn, nie koniecznie na rękawie. Może być ona na kapeluszu, lub jako pliška przy sukience.

I nie będzie się wyglądać tak „grobowo”, i zwyczajowi stanie się zadość, a dla wielu źle sytuowanych, wydatki zostaną zmniejszone do minimum.

Nora Czytelniczka.

Nasza ankieta gospodarcza.

1. Wszystkie zakupy dla mego gospodarstwa załatwiam sama.

2. Najchętniej kupuję stale w tych samych sklepach, czasem tylko przygodnie, zachęcona wystawą, lub jakąś celową reklamą.

3. Różnicy na niekorzyść naszych wyrobów w artykułach codziennej potrzeby nie widzę; i owszem: kilkakrotnie porównując zakupy, czy to swoje czy innych osób, poczynione zagranicą (w Paryżu), widziałam, że to samo, a raczej za tę samą cenę można było dostać w naszych magazynach i naszych pracowniach, często nawet w solidniejszym wykonaniu.

Większej skali porównań nie mam, gdyż staram się kupować wyroby wyłącznie krajowe, a tylko w wypadkach, gdy naszych w danym dziale niema, kupuję towar zagraniczny, a więc porównania z naszym, nieistniejącym znowu brak. Czasem jednak przyznać trzeba, że wykonanie zagraniczne jest subtelniejsze, niż nasze; zauważyłam to niedawno odnośnie do rękawiczek. Wiem jednak, że są u nas wytwórnie rękawiczek pierwszorzędných, tylko albo wyrabiają za mało towaru, albo nie wszędzie on dochodzi.

4 i 5. Mieszkając w Poznaniu, nie widzę braku żadnych towarów.

6. Waga i opakowanie jest u nas przeważnie jak najlepsze. Każdą większą paczkę najchętniej z magazynów dostawiam do domu. Co do kredytów, to wiem, że pewne firmy udzielają kredytu, głównie członkom zrzesseń urzędniczych, albo innych. Również na podstawie indywidualnego zaufania można dostać większe sprawunki: meble, futra na kilka spłat, za zwykłą umową lub wekslem poręczającym.

7. Raczej mało korzystam z ogłoszeń, bo wogóle moje zapotrzebowania są niewielkie. Przy większych najczęściej idę za informacjami znajomych i oglądam towar w kilku firmach dla porównania i wyboru.

8. Wobec tego, że „Bluszc” nie jest codziennym pismem jakiegoś jednego środowiska, a przeznaczony jest dla całej Polski, odpowiedź na pytanie 8-me nie jest łatwa. W każdym razie myślę, że ogłoszenia w „Bluszc” powinny być bezwzględnie sprawdzane i bezwzględnie pożyteczne dla kobiet i ognisk domowych. Może mógłby „Bluszc” sezonowo ogłaszać jakieś cykle anonsów, n. p. w okresach największej liczby zawieranych małżeństw, podawać anonse firm, dających urządzenia mieszkań i kuchni, wypraw i t. p. i to firm w kilku środowiskach Polski (Warszawa, Poznań, Lwów, Kraków, Wilno); albo w okresie podróży wakacyjnych ogłoszenia firm, zajmujących się ekwiunkiem podróźniczym i turystycznym i t. d. Czy te pomysły mają wartość praktyczną, nie przesądzam.

9. Z Poznania po żadne zakupy nie mam potrzeby nigdzie wyjeżdżać.

A. W. — Poznań.

P. Grzymałową prosimy o podanie adresu, celem odpowiedzi na Jej list.

Redakcja.